

PAŃSTWOWE
LICEUM PEDAGOGICZNE Nr. 2
w Warszawie

No. 1224

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

~~1141~~ 1121

TRZY WYPRAWY

WYDANIE DRUGIE



LWÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1938

80



1121

88
PAŃSTWOWE *Nr. 1224*
LICEUM PEDAGOGICZNE *Nr. 2*
w Warszawie *Nr. 1224*

TRZY WYPRAWY

WYPRAWA DO POLSKI — WYPRAWA WILEŃSKA
WYPRAWA NA KIJÓW

TEGOŻ AUTORA:

- Niezgula*, powieść, Lwów 1911, wyczerpane.
Zawody, nowele, wyd. II, Warszawa 1922, wyczerpane.
Proch, powieść, wyd. II, Warszawa 1921, wyczerpane.
Zbytki, nowele, Kraków 1914, wyczerpane.
Piłsudzczyzy, wyd. VI, Warszawa 1937.
Iskry, Wiedeń 1915.
Bitwa pod Konarami, Wiedeń 1915.
Mogiły, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane.
Spotkanie, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane.
Łuk, powieść, wyd. II, Warszawa 1929.
Wyprawa wileńska, wydanie IV, Lwów 1938.
Podpułkownik Lis-Kula, wyd. VII, Warszawa 1936.
Wianki, Warszawa 1920, wyczerpane.
Wiosna 1920 roku, Warszawa 1921, wyczerpane.
Rubikon, nowele, Warszawa 1921.
Generał Barcz, powieść, wyd. II, Lwów 1930.
Wakacje moich dzieci, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane.
Przymierze serc, nowele, wyd. II, Zamość 1930.
Miasto mojej matki, wyd. V, Lwów-Warszawa 1936.
W cieniu zapomnianej olszyny (Z cyklu: „Miasto mojej matki“), wyd. IV, Lwów-Warszawa 1936.
Europa zbiera siano, Lwów-Warszawa 1926.
Nad brzegiem wielkiej rzeki, wyd. III, Lwów-Warszawa 1936.
Rzymianie Wschodu, Warszawa 1929, nakł. Sekcji Bibliofilów Pol. Uniw. Warsz., wyczerpane.
Na progu, Warszawa 1928.
Stefan Żeromski, Lwów 1930.
Pióro, miłość i kobieta, Lwów 1931.
Za stołem i na rynku, Lwów 1931.
Aciaki z pierwszej A, Lwów 1932.
Budujmy szkoły, Warszawa 1933.
Mateusz Bigda (z cyklu: „Czarne skrzydła“) — I. Grunt, Warszawa 1933; II. Masło, Warszawa 1933; III. Spiżarnia, Warszawa 1933.
Pod Belwederem, Warszawa 1936.
Drogą Wolności, Warszawa 1936.
Lenora (z cyklu „Czarne skrzydła“ I), wyd. III, Warszawa 1937.
Tadeusz (z cyklu „Czarne skrzydła“ II), wyd. II, Warszawa 1937.

I 574.489 A

M. 750 PAŃSTWOWE Nr. 1224
LICEUM PEDAGOGICZNE Nr. 2
w Warszawie 1121

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

TRZY WYPRAWY

WYDANIE DRUGIE



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1938

WYSTAWA
MUSEUM PEDAGOGICZNE
W WARSZAWIE



1121

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

160 38

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

PRZEDMOWA

Pierwszy ustęp tej książki, pod tytułem „Rubikon“, traktuje o doniosłym wydarzeniu, które przytrafiło się w roku 1915, w sierpniu, kiedy to po wzięciu przez Niemców Warszawy uznał Komendant Piłsudski, że mu należy jechać natychmiast do stolicy i tam zarządzić co trzeba, by rzeczy poszły dobrym porządkiem, nie zaś byle jakim, albo, co gorsze, nijakim: jedni do sasa, drudzy do lasa, a znów najserdeczniejsi stronnicy, porwani entuzjazmem, lecieć będą do legionowych szeregów, on zaś już czuje, że się sytuacja odmieni; więc niech nie lecą, tylko nową robotę robią, którą im wskaże: niech do P. O. W. wstępują.

Chodziło o stanowisko Niemców w świeżo zdobytej przez nich Warszawie, jak się z Polakami układać będą, i czy wobec tego stolica Polski ma poprzeć werbunek rekruta do Legionów, czy nie. Aby tych rozstrzygnąć dopilnować, musiał być Komendant, jako dowódca I-ej Brygady, opuścić ją, prosić c. i k. Komendę Legionów o udzielenie pozwolenia wyjazdu. Tymczasem Komenda Legionów wiedziała, że Piłsudskiego za żadne skarby do Warszawy puszczać nie można. Bo cóż? Bo „oni“ chcieli rekruta brać, do Legionów wcielać i Le-

gionami pracować na froncie bez żadnych zobowiązań politycznych wobec Polski. Komendant zaś żądał bezwarunkowo takich zobowiązań.

Poradził sobie w tej chwili, jak sobie zawsze radził, gdy o Ojczyznę chodziło: wszystko na siebie wziął i prócz sumienia własnego nikogo o nic nie pytał. Wyjechał do Warszawy. Niby że chory. Nas kilku, których z sobą zabrał, że to niby podręczni oficerowie i służba, która mu towarzyszy.

Tak się w potocznym ujęciu spraw rozgrywanych wówczas przedstawiała wyprawa owa z legionowego frontu do serca Polski. Piłsudski jednak, jak to mogliśmy byli wnosić ze wszystkich rozmów, które prowadził wtedy z nami, a także i z zachowania się, odczuwał tę wyprawę i głębiej i boleśniej niż owo potoczne ujęcie.

Komendant odczuwał całą potęgą swego serca, bijącego zawsze rytmem dziejów polskich, że waży się na krok o doniosłości przełomowej; że jadąc do Warszawy rozpoczyna już grę nie z jednym sojusznikiem, lecz z oboma; że rozpoczyna walkę z obozem mocarstw centralnych; że na czele jednej brygady wyrusza przeciwko tysiącowi brygad mocarstw centralnych; że aby przeciwko owemu tysiącowi brygad wyruszyć, musi tę jedną brygadę swoją opuścić, a przybywszy do Warszawy zstąpić do owoczesnego piekła naszej niewoli, więc zacząć pracować ze ślepyimi, którzy jemu, jedynemu widzącemu, odmawiali wówczas daru widzenia.

Drugi ustęp tej książki, pod tytułem „Ostatni postój“, opowiada, jak Piłsudski, doprowadziwszy legionistów do

brzegu niepodległości w roku 1916, już u brzegu tego musiał opuścić swych żołnierzy. Przystąpienie Legionów do Polski ogłoszonej aktem 5 listopada 1916 roku w Warszawie odbyło się przecież za cenę ustąpienia Komendanta z Legionów.

My, żołnierze legionowi, trwający wówczas na postoju w Baranowiczach, nie wiedzieliśmy po prostu, jak mamy przeżyć rzecz tak okropną! Jakiegoż wstydu doświadczaliśmy w tej niby radości owoczesnej, jakże się nam w głowach pomieścić nie chciała ta niby Polska wolna, bez tego, który ją pierwszy wywalczył.

Wtedy Komendant, aresztowany już nieomal w Krakowie, krzywdę zasługi i dumy swojej również chyba przeżywający, sposobił się do nowych trudów, aby w społeczeństwie polskim zastąpić jakby drugiego Piłsudskiego, którego w tym społeczeństwie dotąd brakło, ale bez którego jakże sprawa miała iść naprzód? Siebie samego poszedł zastępować, nam zaś, żołnierzom swym osierociałym, wysłał z Krakowa list.

W rozdziale pod tytułem „Ostatni postój“ nie napisałem wszystkiego jak się działo, kiedy nam ten list czytał pułkownik Śmigły. Krępowiałem się wówczas rzeczy takie w piśmie zamieszczać, jako że to niby o wielki hart żołnierstwa naszego chodziło.

Teraz można powiedzieć jak było, że gdy się to czytanie listu zaczęło, żołnierze tylu ciężkich bitew wojny światowej, stojący wtedy na zaśnieżonym placu musztry w Baranowiczach, płakaliśmy i wołaliśmy i krzyczeliśmy jak zrozpaczone dzieci. Tak nas wzruszała wielkoduszność naszego wodza. Potworne przeznaczenie zda-

wało się wyganiać go z progu niepodległości, a wódz nie tylko że już nowe, trudniejsze i niewdzięczniejsze prace podejmował, ale nas jeszcze po swej stracie pocieszał.

Trzecia z kolei część tej książki to „Wyprawa wileńska“. W roku 1915 śpieszył Piłsudski z frontu swej brygady do stolicy, do serca Polski. W roku 1919, w kwietniu, z Warszawy, z serca Polski, jako tako zachodnie granice Ojczyzny zabezpieczywszy ciągnął co prędzej ku Wilnu, do źródeł polskiego romantyzmu, do źródeł odkupienia przez ducha i przez słowo.

„Wyprawę wileńską“, wtedy, gdy ją układać zaczynałem podczas marszów i walk i wreszcie w samym tylko co zdobytym Wilnie, pragnąłem inaczej zatytułować. Mianowicie: Wdzięczność żołnierska. Tytułowi takiemu stanął na przeszkodzie stosunek służbowy, aby się komuś tam nie przywidziało, że to chęć pochlebstwa.

Wódz sam odczuł najtrafniej, z jakim duchem wojsko jego szło wówczas na Wilno. Jużci żaden z żołnierzy nie lekceważył sobie wzniosłej istoty tego miasta. Lecz pośpiech, żar, gwałt, rozpęd szeregów, to już był poza regulaminami służby polowej, poza rozkazami operacyjnymi złożony dar osobisty żołnierzy dla wodza. Jakby chcieli powiedzieć ci, którzy wówczas oddziały prowadzili: los i własna twa wola wykreślały cię tyle razy dla dobra sprawy z naszych szeregów, teraz ci pokażemy, na co się zdały ciężkie twoje ofiary. Zobacz wdzięczność żołnierską.

Czwarty rozdział tej książki to „Wyprawa na Kijów“. Z serca Polski do źródeł odkupienia; z onych

źródeł w roku 1920 na wielkie szlaki Bolesławowskie, gdzie już wchodziła w grę nie sama Polska tylko, lecz los połowy Europy. W roku 1920 na drogi dziejów świata!

Od czasu gdy te wyprawy opisywałem, minęły lat dwa dziesiątki. W okresie owych dwudziestu lat narosła o tych wojnach cała literatura, w której wszystko dokładniej zostało opisane niż w tej książce. Wielu znakomitych oficerów naszych, którzy w tych wyprawach dowodzili chwalebnie, przysiadło później fałdów i zbadało dokładnie istotę przedsięwziętych ongiś marszów, bitew, odwrotów i zwycięstw.

Powiedzieli, jaki był układ sił po naszej stronie, jaki po stronie przeciwnika, jakie trudności do pokonania tu, jakie po stronie przeciwnej, i jakie linie kolejowe i jaki dowóz żywności, i jaka służba łączności, jakie straty, ile i jakich uzupełnień, i nawet z jakim typem walki innych wielkich wodzów porównać można natchnienie wojenne, które było duszą czynów wojennych Piłsudskiego.

Zdaję sobie sprawę, że w zakresie rzeczywistego odтворzenia opisanych tu wypraw z nikim współzawodniczyć nie mogę, najpobieżniejszy bowiem opis przeciętnego pisarza wojennego zawsze chyba ściślejszy będzie od tego, co w tej książce opowiedziano. Jeżeli po dwudziestu latach znajdują się jednak chętni, którzy się tego właśnie opisu domagają i ten jeszcze chcą czytać, to może dlatego tak się dzieje, iż prawi się tu czytelnikowi na tle trudów i zmagani ubiegłych o jakiejś innej rzeczywistości niż ta, którą przynoszą wytrawni nasi kronikarze bojów.

Jakaż to rzeczywistość? czy też choćby jej drobne motywy i zarysy? Sądzę, że o życiu „Trzech wypraw“ rozstrzygnęło nie, broń Boże, jakieś tam osobliwe uzdolnienie pisarskie, lecz odrobina bodaj takiego uzdolnienia, ale dotknięta dziejowym, czarodziejskim światłem, jakim promieniował Józef Piłsudski.

Cała zasługa moja to może tylko tyle, że mi się kiedyś udało jechać z Komendantem do Warszawy, a kiedyś tam towarzyszyć na bryczce, gdy się Komendant tłukł po pozycjach wołyńskich z pożegnaniem do swych pułkowników, a później wraz z innymi płakać ze wzruszenia w chwili czytania listu na placu musztry w Baranowiczach, a później, podczas wyprawy wileńskiej, na postoju w Skrzybowcach pisać listy pod dyktando Naczelnego Wodza późną nocą w wagonie, a potem ganiać w świcie Naczelnego Wodza na Kijów.

Taka sama zasługa jak wszystkich innych, którzy mieli szczęście kiedykolwiek z nim współpracować. Zapewne! Nikt nie powie, że nam dobrej woli brakowało. Że się jednak ta dobra wola wielką, mocną budową objawiała, to już jego jest światło, i jego wola, i zawsze jego serce.

On w nas tworzył, on nas budował. Jedyna może zasługa tej książki, to że uczestnicząc w owoczesnych wyprawach zdołałem zapamiętać i odnotować tę oto potoczną, życiową rzeczywistość świetnej postaci: jak Komendant wyglądał, gdy do stolicy Polski jechał, a jak się gniewał, a jak chleb-sól od ludności przyjmował, co mówił w przeddzień upadku Wilna, jak sobie dzielnych skautów za towarzyszy przybrał, jak na dro-

dze pomiędzy Żytomierzem a Kijowem w wiosenne przedpołudnie dzielił się kawałkiem chleba z generałem Henrysem, czy też jak dzieci przyjmował na berdyczowskim dworcu radosne i szczęśliwe.

Może jedyne uzasadnienie ciekawości czytelników, że znajdować tu mogą, chociaż pośpiesznie i ułomnymi słowami wyrażony, konterfekt żywego Komendanta, nie tylko wodza, wskrzesiciela Ojczyzny, ale również człowieka.

Z życia takiej postaci uchwycić kilka ruchów chociażby, kilka słów, kilka gestów! Jakież to dla pisarza szczęście, iż z tych kilku słów, ruchów czy odtworzonych gestów mogą ludzie odgadywać i dopowiadać sobie i własnym marzeniem uzupełniać postać wieczną w dziejach narodu.

WYPRAWA DO POLSKI

(RUBIKON)

RUBIKON

1915

Nocami hasał krąg pożarów, w którego głębinach, niby sam gniew Opatrzności, ukazywał się straszny żar wojny, trzaskający kudłami płomienia.

We dnie szliśmy w długim pościgu¹ strudzeni ponad miarę, na poły nieprzytomni, pomiędzy jasną pogodą lata a trupami naszych kolegów.

We dnie i w nocy, ciągle, codziennie, aż oto nagle wołają — odpoczynek!

Więc ty tu, a ja tam, gdzie kto może, tam pada, leży i odpoczywa.

Rubikon — mała rzeczka w płn. Włoszech; stanowiła w starożytności granicę między właściwą Italią a Galią Cysalpińską. Gdy Juliusz Cezar, zwycięzca Galii, wracał z legionami i zbliżył się ku tej granicy, senat rzymski, lękając się jego przewagi, kazał mu rozpuścić żołnierzy przed wejściem do Italii. Mimo to wódz na czele wojska przekroczył Rubikon, podejmując tym samym walkę, którą mu zagroźono. Stąd „przejsć Rubikon“ znaczy tyle co przejść śmiało granicę dzielącą jedną możliwość działania od drugiej.

¹ szliśmy w długim pościgu — W lecie 1915 roku wojsko rosyjskie cofało się szybko z ziem polskich, paląc i niszcząc po drodze. W pościgu brała udział Pierwsza Brygada Legionów pod wodzą Komendanta, „brygadiera“ Piłsudskiego, działając w związku z armią austriacką. Z początkiem sierpnia szła już z Lubelszczyzny na Wołyń. Właśnie wtedy Niemcy zajęli Warszawę, opuszczoną przez Rosjan.

Ten oto wlecze siodło, z którego zwieszają się strzemiiona i dzwonią w letnim słońcu srebrnymi połyskami, tamten usiadł na progu chaty, i niczym w roju padalców, grzebie w czarnych rzemieniach, których żelazne sprzączki jak ostre zęby szczerzą się ku światłu. Inni leżą przy wydeptanej ścieżce, poodal chałupy, w której jest utwierdzone koczujące dowództwo Piłsudskiego. Oczy mrużą pod blask południa i patrzą na wstrząśniętą, rozdeptaną ziemię Lubelszczyzny. Starasiło ją setki tysięcy stóp i spalił pożar wszczęty przez Rosjan.

Ja zaś siedzę przy skraju warzywnego ogrodu, prażony słońcem, na małej ławeczce, którą dwa wątle słupki podtrzymują. Doszły mnie listy z daleka, od drogich ludzi, listy i podarunki. Trochę bielizny, trochę jedzenia, jakaś wstążka, słowem, cała karawana drobnych upominków z domu dalekiego, który się tam gdzieś we wielkim świecie wojny niby mała łupina kołysze po falach ogromnych.

I z tego właśnie teraz powodu wielka życzliwość zakwita we mnie dla całego świata.

Widzę przed sobą grzędy marchwi i pietruszki, a czupryny ich naci, wycinane w drobne ząbki, mierzwią się i kołyszą niby na znak tej mojej życzliwości. Widzę tuż obok kostropaty gnata starego krzaka bzu, z którego znów wykwitły i z wiatrem ku górze się wydzierają liście kształtne, jak młode serca zielone.

Ogarnia mnie ta radość prosta, która sprawia, że choć tak dużo zdarzyło się niedawno, tyle bitew i znów tyle krwi, i Niemcy wzięli Warszawę, — nic mi to wszystko nie znaczy.

Poodał, od stodoły, słychać wściekle ujadanie, głuchy tupot koni, szarpaninę uprzęży i wrzaski. To nic, to się nasi żołnierze żrą z Czechami austriackimi. Z szerokich wrót stodoły wypadają słowa coraz gorsze i coraz pośpieszniejsze. Wszystko nic, jedna radość!

Gdy wtem przyszedł do mnie szef sztabu naszej Brygady, Sosnkowski, że zaraz jadę w tył, do tej a tej wsi, że jedzie tam każdy osobno, aby Austriacy niczego nie przewąchali, gdyż w wielkiej tajemnicy Komendant wyrusza dziś do Warszawy ¹.

Trudno mi było zrozumieć, w jaki to sposób bez stosownego zezwolenia pojedzie ten dowódca brygady, jakich jest pono setki i setki w rozporządzeniu A. O. K. ²— dowódca, któremu nikt nie dowierza, który chodzi między nami a Komendą Legionów ³, obsadzoną przez Au-

¹ *Komendant wyrusza do Warszawy* — Po ustąpieniu Rosjan ze stolicy, wobec wydarzeń, które otwierały nowe możliwości w naszych dziejach, zdawało się, że społeczeństwo zgodnie i stanowczo wypowie swą wolę co do dalszych poczynąń narodu. Toteż Piłsudski ruszył z frontu na tę „wyprawę do Polski“, by nieść tu swoje doświadczenie i swój plan działania. Uznał, że po wyparciu armii rosyjskiej z Królestwa dotychczasowe zadanie Legionów jest skończone; należy postanowić, jak organizować polskie siły wojskowe wyłącznie dla własnych celów narodu, nie wprzągając ich nadal w służbę Niemiec czy Austrii. Czekają go zadanie ciężkie, bo społeczeństwo po długiej niewoli nie miało ani tej, co on, wiary w możliwość kształtowania swych losów, ani jego zdecydowanej woli do czynu. ² *A. O. K.* — skrót niem. *Armee-Ober-Kommando*: Naczelne Dowództwo Armii. ³ *Komenda Legionów* była łącznikiem między dowództwem armii austriackiej a Legionami polskimi, pojętymi ściśle tylko jako kombatanci tej armii; była więc krępowana zależnością od A. O. K.

striaków, bez odznak i dystynkcji¹, jakby już na pół gotowy i przysposobiony do więzienia. On, który nawet nie ma prawa pisania marszrut! Za jakim dokumentem pojedzie?

Wiadoma rzecz, jak gęste filtry szpiegowskie ustawione są za frontem. Ile razy tu człowieka dotkną i pomacają żandarmi, ile razy musi pokazać papier ze wszystkich stron pieczętowany!

A cóż dopiero żołnierz z Brygady, który na froncie ceniony jest jak perła, lecz którego na tyłach obsiadają Austriacy i tak poniewierają po czarno-żółtych „amtach“².

Nie dowiedziałem się od szefa żadnych szczegółów. Lecz już przeknęła się w człowieku ta rzecz powszechna, to wyższe dobro służby, tyle razy bezsilnie przekłete i znów gorąco uczczone. Znów wraca wszystko w swe formy przykazane, i już nie ty władasz sobą, a tylko to, co rośnie poza tobą, nie w drzewie i nie w polu, i nie na wodzie, lecz niewidocznie uplecione z wszystkich przymusów życia.

Już moje nowiny z domu upchane są w małych trokach, już wstałem, drzazgi małej ławeczki iskrzą się w słońcu daleko już poza mną.

Znowu się trzęsie człowiek z powrotem drogą, którą był naprzód szedł. Rozlane źródle łąnow, chrzęst bezmierny tej fali suchej a płynnej, na błękitnym niebie białe żagle wzdęte i ciągły syk wśród zbóż, jak głos najłaskawszego ostrzeżenia.

¹ dystynkcje — tu: odznaki stopni oficerskich. ² czarno-żółte „amty“ — „urzędy“ austriackie (od barw państwowych Austrii).

We wsiach prawie nikogo, ludzie pokryli się w dołach na ziemniaki, żołnierze naprzód poszli. Tylko w rozwalonych stodołach, we wrotach szerokich, do cna rozwartych, pomiędzy wytryskiem słomy, za oknami chałup, gdzie pod pułapem buja lekko w mroku mały kręciek¹ chłopskiej radości, ze strzyżonego lepiony papierka, — myszkują po tropie armii tłuste żandarmy austriackie.

W ciemnozielonych mundurach, z błyskiem złotego orła na korkowym hełmie, tłuści i grubi, z żądłem bagnetu nad głową, podobni są do chrząszczów-łajniarzy, toczących na opuszczonych drogach nawóz koński.

A przecież — myślę jadąc przez tę obławę — jeżeli Piłsudski wybiera się do Warszawy, będzie też musiał mijać takie pogonie. I nagle wydaje mi się, że gdzieś, wśród starych, złotych stodoł, obsiedą go te chrząszcze olbrzymie, i jakże sobie z nimi poradzi?!

Zajechałem nareszcie przed folwark rozległy, tchnący fioletowym cieniem białych ścian poprzez zieleń murawy.

Przed zajazdem, jak wszędzie, gdzie stoi mnóstwo koni, wlokła się złota poświata słomy ku wszystkim stajniom i stodołom.

Jak na porę wojenną, cicho tu było prawie. Czasem tylko przeleciał rzewny głos po listowiu ogromnych topoli, rosnących rzędami, i mieszał się z echem ludzkich głosów od strony domu.

Zajrzałem przez okno.

¹ *kręciek* — „pająk“ zlepiony z kolorowych papierków lub opłatków i zawieszany na nitce u pułapu izby.

Piłsudski siedział za stołem, pod ścianą. Ułany tam i sam po kątach, nad wszystkim kołaczące za szybą ściennego zegara małe słoneczko wahadła.

Nie żeby to był strach, lub jakaś czołobitność... Ale kiedy tak siedzi we dworze, na tle ziemi i drzew, czyni Komendant wrażenie osobliwe... Człowiek to, czy wcielenie najwznioślejszej tradycji? Ona to sprawia, iż wszystko, co byś sobie chciał przypomnieć rycerskiego z doby twych dziadów lub z jasnego pasma historii twego kraju, wszystka powaga, troska — taki właśnie przyjmuje kształt żołnierski, jaki On ma.

Oto pije herbatę, odsuwa wąsy, huczy z piersiowej głębi swego głosu, i nic przecie nie działa teraz, a ty czujesz, czujemy wszyscy, jak jest droga każda chwila jego życia.

Mówi się o byle czym, dziś trzynasty sierpnia, że trzynastka feralna jest i lepiej by było podróży tego dnia nie zaczynać. Równocześnie, gdzieś w kącie, idzie dalej targ o konie, — jakież konie, jakież wehikul¹ da rotmistrz Komendantowi?

Oficerowie, którzy z nim jadą, są już przerobieni na prostych żołnierzy. Nazywać się będzie przez drogę, że Komendant zachorował, że — serce, — szmery² — i oto doktor go wiezie po poradę do Warszawy.

Najtrudniejsza jest sprawa z dokumentem podróży, z „marszrutą“. Nic nie jest milsze władzom od tego, by

¹ *wehikul* — pojazd. ² *szmery* — szmery serca, jako objawy pewnych zmian chorobowych, dające się wysłuchać w badaniu lekarskim.

był chory... Aksamitem usłaliby mu wagon, wszystkimi napisami okleili i do wszystkich Kissingenów¹ wyprowadzili.

Ale wówczas nie dojedzie do polskiej stolicy, gdzie już działacze małoduszni niedrogie swoje słowa mówią, nazwisko mu zabierają, już może je na centy² rozmięli i już może na wadze ugody jakiejś ważą.

Więc robi się w porządku wojskowym fakt niebywały, że sobie Komendant marszrutę sam podpisuje.

Dwóch oficerów, to Vorreitery³, a innych dwóch, to koniuchy, na drugim wozie z rzeczami.

Więc na to po tyłu Związkach, po tyłu zagranicach, po tyłu Strzelcach biegaliśmy, i na to się przez rok tak krwawo walczyło i tyłu ludzi w ziemię posiało, aby znowu teraz, w odzieży lichego przebrania, podkradać się do własnej stolicy?!

Przeto jeden do drugiego przepija, jeszcze to ośle salami⁴ austriackie przegryzają, lecz z czegoż się tu cieszyć?!

Targ z ułanami dobity, powóz podany, czas siadać.

Właśnie jest pora upatrzona, żebyśmy przejechali nie za wolno i nie za prędko, szczególnie koło Adamowa (jeżeli mnie pamięć nie myli), wsi, w której stała Komenda Legionów.

Żeby nas jeszcze ci na przykład nie ujrzeli...

¹ *Kissingen* — słynne zdrojowisko lecznicze w Bawarii.
² *cent* — dawna drobna moneta miedziana (austriacka). ³ *Vorreitery* (niem.) znaczy dosłownie: jeźdźcy jadący przodem. ⁴ *ośle salami* — wędlina z mięsa osłów.

Stoją już koniska, zaprzężone do starej landary. Landara z bokiem wytartym, z kapucą¹ oberwaną, oraz wcale żadnych stopni nie posiada.

— Kosz, puzdro, tabakiera, psiakrew!! — zżyma się ktoś — a nie powóz! I co za konie, dziady!

Bo z racji owych koni, właśnie jakby przymierzył rotmistrz do jakiejś przyszej opowieści, w której będzie wysłowiona wielkość Wodza, i to, jak chciwość dnia poprzedniego nigdy na włos ustąpić nie chciała na rzecz wielkości.

Konie, które ułani dali Komendantowi, to nie wierzchowce ani żadne cuganty: średnie, zwykłe fornale o chwiejnym kroku ochwaconych kopyt, jeden zaś płuca miał przedęte, że gdy tchnął, to mu się cały kałdun ku tyłowi posuwał.

Drugi wóz jeszcze gorszy, bryczka zeschnięta, przegrodzona snopami zamiast siedziska, a kto takie sposoby jazdy zna, ten wie, co będzie, że nigdy snopka twoje siedzenie w pożądanym miejscu pod sobą nie wyczuje.

Adiutant Komendanta klócił się o te konie, białymi z gniewu oczyma ciskał na wszystkie strony, ale ułani — akurat jakby chcieli wyrzyczyć, ażeby to wypadło jak w jakiejś przypowieści o ofierze i skąpstwie, — patrzą, niby to nic nie rozumieją, na koniach mu urwali, temu wodzowi swemu, na wozach, i nawet na obroku dla tych koni.

Ruszyły wreszcie owe cugi sporym krokiem, ułani na przyzbie baczną obcasami stuknęli, ale jak to zawsze

¹ *kapuca* — tu: buda skórzana landary, karety.

z Komendantem, który, gdy odjeżdża, już nigdy za siebie nie patrzy, tak i tym razem stało się, że ani żołnierzy pod strzechą, ani okien, ani wieńca topoli nie widział chyba.

Musieliśmy się wziąć na boczne drogi, które spadają przez mapę cienkim sznureczkiem ku południowi, aż do wielkiej szosy. Musieliśmy tak jechać, aby na szosę lubelsko-warszawską przybyć w nocy, to jest wtedy, kiedy prawowite władze wojenne oraz opasłe wielmoże austriackiego etapu¹ już dawno śpią, całe prawo tępemu landsturmanowi² zostawiwszy.

Wkrótce wieś znikła za nami, roztworzyły się pola łagodne, wzburzone pięknie kępami drzew.

Rozmawiało się po drodze o wielu błahych sprawach, kraszając je pozorną wesołością wymarszu. Pozorną, bo w głębi tych wszystkich przekomarzań leżało, tak wówczas każdemu z nas znane, nad wszelki wyraz ciężkie uczucie, że oto znów cały zaszczyt naszej służby pierwszy lepszy feldwebel³ zelżyć może i zniszczyć.

Wszystko to odczuwane bezmierną niechęcią duszy i niepokojem. A tu jeszcze i ci z Komendy Legionów po drodze gotowi aresztować.

Tak więc żartowało się pozornie, od wewnątrz jednak palił człowieka rumieniec wstydu. Jeden tylko Komendant wesół był i swobodny, lecz u niego, jak to od dawna wiemy, wszystkie te sprawy innym rachunkiem chodzą,

¹ etap — urządzenie łącznikowe między armią na froncie a jej „tyłami“ (krajem poza frontem). ² landsturman (z niem.) — żołnierz „pospolitego ruszenia“. ³ feldwebel (z niem.) — sierżant.

nie mamy bowiem i któż może mieć takie zasług gospodarstwo i takie wyliczenia z Ojczyzną, jak On ma...

Na krok od wstydu ciężkiego, na krok od tego, żeby się ze wszystkich cesarskich kancelaryj zakazy posypały i żeby przez większość Polski leciał śmiech oraz pogardliwe ramion wstrząsanie, jechał sobie swobodnie nasz wódz, jakby mógł jechać gospodarz z folwarku do folwarku, letnim popołudniem, aby sprawdzić, czy wszędzie aby równo dochodzi mu na polu zboże.

Jeszcze trochę zresztą, i pochłonęła wszystko boczna droga polska, na której byś zapomnieć snadnie mógł o całym świecie, tak jest grząska i tyle razy rozjechana, i nigdy chyba do końca świata nie zmieniona.

Przed tobą twardy fryz¹ dwóch końskich łbów, nad dyszlem skiby dwóch bułanych zadów, poniżej dłoni zwieszanej stare szprychy drewniane, przez które leci piach. Leci piach, żelazo przebiegiem swym obmywa, i jak ty śpieszysz żarliwie, tak ów piach nigdzie się już nie kwapi, niesiony byle gdzie wiecznym przypadkiem świata.

Wszystkie te ruchy składają się na jeden głos utysku i skrzekliwej dorady.

Z takiej oto muzyki ruchu wrywał nas, raz po raz, na skrętach ukazujący się Adamów. Widać tam było w otoczy drzew wysokich, w słońcu wieczornym niby muszla szafirowa sklepionych, szczyt dworskiego dachu, poodal z głębin gałęzi strzelające dwie wieże kościoła. Tylko czekać, kiedy z glansowanych drzwi pałacu wyj-

¹ fryz — tu: górna krawędź obrazu.

dzie ku nam na czerwonych lampasach rozwścieczony generał w złotej obroży gwiazdzonego kołnierza.

Ostatnie reszty dnia i światła włóczyły się po mętnych polach, gdyśmy stanęli w pobliżu niebezpiecznej dla nas szosy, po której dudnił nieprzerwany ciąg wojsk.

Słysząc było wyraźnie przemarsz wielkiej siły, dzwoniącej stalowym orężem.

Nasze dwa wózki utknęły gdzieś przed mostkiem, który ledwo się jeszcze bielił w ciemnościach. Już późno. Na szosę wyjść nie można, bo nas ogarną Niemcy. W polu zostać nie można. Złapie nas jakiś patrol. Dreszer z Wieniawą¹ skręcili w bok szukać tutaj schronienia, może gdzie we wsi, czy w samotnej chałupie.

Piłsudski siedział w powozie, schylony, zadumany nad brzegiem sonej, połyskliwej rzeczki, nad tym wieczystym, sennym, płyciutkim Rubikonem polskim. Od czasu do czasu blask papierosa rozświecał twarz Komendanta i wtedy ukazywała się, jakby niespodziewanie, objęta ni-
kłą łuną, wyczekująca tu cierpliwie z całym losem ojczy-
stych spraw na chłopski nocleg.

Nareszcie wrócili adiutanci z wiadomością, że nocleg znaleźli w samotnej chałupie, na uboczu od wsi i dróg leżącej.

Chłop się przestraszył, bo jeszcze nigdy takiego wojska nie widział, żeby było polskie. Wszystkie nasze życzenia spełniał i na wszystko się zgadzał, jakby spełniał życzenia duchów.

¹ *Dreszer i Wieniawa* — Orlicz-Dreszer i Wieniawa Długoszowski, później generałowie wojska polskiego.

Już noc stała za oknami, czarna i połyskliwa, już się w drzewach sadu cisza na dobre układała z tkliwym szeptem gałęzi, gdyśmy zasiedli do kolacji. Było przy tym mnóstwo biegania, coraz to chłop, to baba, zjawiali się z miską, talerzem albo kubkiem.

Rozmowa szła nerwowo, jutro bowiem mieliśmy wjechać w rejon Niemców, a nie znaleźliśmy ich jeszcze, zatem nie wiedzieliśmy, jak ich zażyć wypadnie. Któryś z naszych kawalerzystów odgrażał się, że żywcem nie da się wziąć. Inni ze swej strony różne sposoby przytaczali. Przerwał tę rozmowę Komendant, twierdząc, że żadnych sposobów nie trzeba, on bowiem jest chory na serce...

— Mało panom? Czegoż chcecie więcej? Każdy przecież ma w końcu prawo chorować. Już tyle razy w życiu musiałem to odgrywać.

Przypomniiał dawne czasy więzienia w Petersburgu i te długie miesiące, kiedy pod obserwacją lekarzy musiał obłąd udawać.

— Trzeba mieć tylko istotnie silną wolę, proszę panów.

I oto nagle, w niewiadomy sposób, w nieuchwytniej chwili, już mieliśmy przed sobą dwuznaczną grę: Potężna harmonia tej twarzy rozkruszyła się w mgnieniu oka na cały szereg uśmiechów niezwiązanych. Światło spojrzenia bezprzestrzenne się stało i szklane, gesty straciły wszelki ład i kolejność.

Każdemu nagłemu ruchowi jego rąk towarzyszyły ciemne chmury much, z bzykiem latających po izbie.

Przez chwilę zdawać się mogło, że oto tu właśnie, w białej chałupie chłopskiej, po nocy, spadł Piłsud-

skiemu z twarzy wszystek majestat wielkiego przeznaczenia, że się przez niewzruszoną maskę posłannika przebił strudzony człowiek... I że oto w tej drodze bez wyjścia rozgania chmury much nieprzytomnymi dłońmi, — miotający się po tej ziemi i wszystkich jej okaleczonych krańcach, pokutujący tu w strzeleckiej kurcie, na brzegach obcej władzy, w kraju nieszczęsnym, w którym cudza moc płynie główną drogą, a on, oswobodziciel, jak błędny ogień pełga boczną ścieżyną po polach i werstepach.

Wstaliśmy rychło świt i zaraz naprzód ruszyli, teraz już szosą, poprzez niemieckie panowanie.

Ziemia płynęła po obu stronach równo, podrywając się lekko ku górze za mgłami poranka. Szare powietrze zwolna dopiero drzeć poczynało od życia, objawionego w wysokościach błękitu głosami ptaków.

Minęliśmy już pierwszą miejscowość, gdzie byli Niemcy. Już widzisz tu i tam wartujących piechurów i ten ruch, po którym poznasz ich łącznie wszędzie, twarde, stanowczy, mechaniczny.

Dziś dopiero widać, po całej drodze wczorajszej, że nas ułani nie na żarty przy wyjeździe ocyganili na koniach i na wozie. Jedno koło powozu Komendanta już bełkoce i dźwięk niedobrego luzu ¹ ma w swym obrocie. Koń z drugiego pojazdu zakuty ² jest i kuleje żałośnie.

Coraz przystajemy, choć tak bardzo zależy na pośpiechu. I stuka się po kole, mutry obluźwane palcami

¹ luz — obluźwanie, obsuwanie się obręczy z koła. ² koń zakuty — okaleczały wskutek wadliwego podkucia.

się wgniata, koniowi gładzi się pęcinę i dmucha mu się w strzałkę¹ i obolałego gwoźdźcia się dotyka, od czego kopyto zaraz skacze do góry; jedziemy coraz wolniej.

Aż nareszcie przed górką, na której zaczyna się las, koń przystaje i dalej iść nie może.

Stanęliśmy w połowie drogi o takie głupstwo.

Słońce już się przedziera przez czerwone pnie sosen, już iglaste gałęzie mienić się poczynają iskrami. Gdzież tu radę jaką znaleźć na tych polach szerokich, nad którymi rozlegają się tylko w mgłach tkliwe głosy skowronków...

Szukamy, wypatrujemy. W końcu, na skłonie, obok górki, z której się na dół w dal rozlewa wielki las, dojrzeliliśmy chłopca, orzącego małym, zmyślnym konikiem.

Jeden z naszych powiada: — Nie ma co, trzeba będzie wymienić.

Idziemy po bruździe do chłopka, zaczynamy od Boga i od szczęścia przy robocie.

Chłopiek kosmaty, że mu z dziurek nosa i z uszu i z rozchyłonej na piersiach koszuli włosy jak osty wyłażą, przygłuchy jeszcze do tego, nic nie rozumie. Ty mu mówisz o koniu, on ci o mieście prawi; ty o zamianie, a on o urodzaju; ty mu, że masz daleko, a on o Ruskach², które odeszły.

Zaprawdę, jak gdyby się to układało wedle boleśnego doświadczenia ostatnich pokoleń, które na tej ziemi o wolność walczyły: będziesz jechał o losów

¹ *strzałka* — część kopyta końskiego. ² *Rusek* — tak zwali chłopci w Królestwie „ruskiego“, tj. Moskala.

rozstrzygnięcie, najbliżsi twego ci nie doliczą i z koniecznego urwą, potem na sam ostatek przed chłopkiem w bruździe staniesz bezradny i po prośbie nieomal...

Dopiero kiedyśmy naszego wałacha, choć zakutego, odprzęgli i do targu przywiedli, gdy konisko obejrząc sobie dało zęby i nogi, westchnął nasz Piast serdecznie. Jeszcze wzdycha, jeszcze krzyczy, niby od głuchoty, aż się po polach słowa obijają, ale już swoją szkapę odpręga, już się z nią żegna klepaniem, a także i w ten sposób, że jej czarnymi pazurami złotą grzywę rozczesał.

Nasz koń zakuty, ale siłacz, no, niby ułan przecie, a ta szkapina tyle że na pierwszy dzień lepsza, bo jeszcze nie zakuta.

Wymienialiśmy się tak i kupczyli ze starym chłopkiem, który w te pędy odzyskał słuch, — gdy znad górki i znad sosen w białym, rozpromienionym słońcu wychyłało nagle sześć wielkich niemieckich samolotów.

Mknęły szybko z buczeniem dźwięcznym i wesołym, trzepoczące stalowymi obrotami w złotych mgłach, tuż pod niebieskim błękitem. Niby pszczoły tęczowe mknęły ku wschodowi, nie popatrzywszy nawet na te niskie kłopoty, jakim się oganiać musiał Wódz polski, o jednym koniu jadącym do stolicy.

Dopiero na szosie szerokiej, dla wielkich ruchów przysposobionej, okazało się, jak słabe i wątle są nasze siły. Coraz trzeba stawać, rozluźnioną obręcz pobijać, na chłopskiego konia krzyżeć i przemawiać, bo się z drugim koniem-ułanem nie dobrał i nadążyć mu nie mógł.

Trzęśliśmy się tak cały dzień we wstydzie i upokorzeniu, coraz częściej spotykając duże oddziały niemieckich

wojsk. Widzisz z każdego kroku, że gdy u nas bieda, tam bogactwo, gdy u nas ziarno, u nich aż przesypuje się od nadmiaru.

Dnia tego, jeśli się nie mylę 14 sierpnia, przyjął nas na wieczór dwór w Sulbinach, położony wedle szosy, którego gospodarz generałem Komendanta nazywał i ze zdumieniem patrzył w salonie na stary konterfekt¹ generała w bulionach² z 1831 roku, dziwiąc się szczerze, że nasz współczesny generał polski takich budynków na ramionach nie nosi.

Nazajutrz wyruszyliśmy o porze tak upatrzonej, aby przed wieczorem stanąć w Warszawie.

Wjechaliśmy w orbitę³ marszu którejś armii niemieckiej. Od samego rana płynęło to wojsko żelazne drogami, lasami, ścieżkami, polem, miedzą i każdym miejscem wolnym.

Od samego rana przez upalne promienie słońca waliły ciężkie artylerie. Od samego rana do południa, i z każdą godziną coraz więcej rósł huk. Były chwile, kwadranse, w których zatrzymywać musieli krok ludzie i konie, a wszystkie koła warczących baterij milkły, bo oto od zachodu pędziły całe gromady, całe tłumy samochodów, z jazgotem przeraźliwym i z kurzem podniebnym.

A potem na przemiany zalewała nas niemiecka jazda, ciężko pracująca na siodłach. Między lasami, spośród

¹ *konterfekt* — portret. ² *buliony* — srebrne lub złote frędzle, spadające wokół wysokich, okrągłych szlif (naramienników) u dawnych mundurów wyższych oficerów. ³ *orbita* — droga (linia krzywa), jaką zakreślają w biegu planety, księżycy itd.; w dalszym znaczeniu: krąg, zasięg.

sosen i brzóz i łąk migają ostre groty biało-czarnych lanc, a po rozległej szosie sypał się wciąż nieprzeliczony miał piechoty.

Albo znów obegnał ich wszystkich rozkaz, a wtedy, jak gdyby straszliwe tchnienie mocarstwa, co tych ludzi tu słało, leciał ryczący oddech, i znów pędziły wielkie samochody układać się tam gdzieś, na końcu świata, w nieprzebity mur niemieckiego uporu.

Nam, żołnierzom, którzy tytać się musieli koło austriackiej biedy i łataniny i którzy się tylko z Rosjanami porali, oczy wychodziły na wierzch wobec widoku tej masy broni i żelaza.

W połowie drogi musieliśmy znowu ze szosy zejść.

Powóz prawie się rozlatywał, chłopski konik animusz stracił, obręcz trzeba było z koła ściągać i na nowo nabijać.

Zeszliśmy w głąb od drogi, ku jakiejś kuźni opartej o szare, równe parkany wielkiego pańskiego folwarku.

Tu kowal stuka, miech furczy, wielkie serce ognia ukazuje się w ciemnej czeluści, wytryska płomieniami i gaśnie, my zaś siedzimy na trawie, Komendant w środku. Czekamy. A tam, drogą, straszna potęga płynie i płynie, obłoki ją unoszą, świat od niej drży, ziemię się od niej trzęsą.

Mówiliśmy tu na murawie o armii, i o wielkich armiach świata, i o tym, jak się duch narodu w swej broni przeglądać może niby w zwierciadle, i o tym, że my...

Wtedy nam przerwał Komendant i wkrótce znalazł się w jego słowach wszystek duch jego. Spalona, pyłem i kurzem oblepiona twarz jęła lśnić potem serdecznego

wysiłku, słowa wyrywały się z piersi mocne i dźwięczne, jak dźwięk kuźni pobliskiej.

Marzył, aby Polska w tej wojnie weszła z niespodziewanym dla całego świata posagiem między ludy Europy, prawo wywalczające. Żeby weszła między te ludy ze swoją młodą armią, poczętą nie z rutyny, lecz z serca, z duszy Narodu.

Już prawie nad wieczorem ruszyliśmy dalej. Słońce zachodziło, gdyśmy się w pobliżu Warszawy znaleźli.

Jechać nam wypadło przeciw morzu wojennego przepychu, w piekielnym huku pędzących rzędami samochodów. Naprzeciw tej glorii stalowego zwycięstwa trząś się mały wózek Piłsudskiego.

Właśnie na tym skołatany gracie przybywał do stolicy polskiej głos niezłomnego protestu, głos mający odmówić Niemcom polskiego rekruta, głos przeciwny wszelakiej ugodzie, głos najśmielszej odwagi, dumy i bohaterstwa.

OSTATNI POSTÓJ

OSTATNI POSTÓJ

1916

I

Jakże się wówczas przelewała gorycz i zgryzota¹ przez wszystkie nasze słowa, spojrzenia i uczynki! Stanęliśmy już chyba u kresu, że ani w prawo, ani w lewo, nad brzegiem samej rozpaczy!

Skrwawiliśmy się okrutnie przed Kowlem², w zaciętej obronie przyczółka, na moczarach i błotach wołyńskich pod Czartoryskiem, Kołodziejami, pod Polską Górą, straciliśmy tylu najlepszych naszych oficerów, żołnierzy!

I cóż?

Długi memoriał poszedł do A. O. K., przez Piłsudskiego pisany, o tym, że albo za tę krew kraj prawa swoje polityczne odzyska, albo żołnierz Legionów wymówi służbę Austriakom i Niemcom.

Było z tym wiele jeżdżenia po nocy między pierwszą linią okopów a wszystkimi pułkownikami, wiele zmud-

¹ Powodem owej *goryczy i zgryzoty* było poczucie, że Legiony ciągle dotąd służą nie wprost Polsce samej, ale wojennym i politycznym celom państw zaborczych właśnie: Niemiec i Austrii.

² *Kowel* w wojew. wołyńskim był ośrodkiem zaciętych i krwawych walk już w 1915 r., a zwłaszcza w lecie 1916 r.

nej mowy, dużo czekania i mitręgi, nim inni nasi wodzowie zgodzili się usłuchać Piłsudskiego.

W trakcie tego przybyli z zachodniego frontu oficerowie niemieccy, specjaliści, i w głębi cudnych, jesienią pachnących lasów wykładali o gazach trujących — o „Blasverfahren“, „Schiessverfahren“¹, czego musieliśmy słuchać niby szczury sposobione do wytrucia.

Nareszcie brygadierzy podpisali ten akt, to znaczy, że albo się Polskę postanowi, albo nasze wojsko pójdzie do domu.

A potem pewnego dnia Piłsudski siadł na bryczkę, zajechał tu i tam... Tu i tam w pułkach pogadał, za stołem czy na łączce, i kromeczki poczęstunku ubożego pojadłszy, uścisnął dłonie swym oficerom po raz ostatni.

Potem całą godzinę huczał gniewnie w kwaterze brygadiera Hallera², w Dubniakach, mroźnym wieczorem przy księżycu, i już na dobre odjechał swego wojska³.

Wtedy wszyscy jednym głosem uznaliśmy, że nie masz więcej żołnierza bez ojczyzny! I stała się na tym froncie, od Rygi do Morza Czarnego rozpiętym, rzecz nieoczekiwana: oto kilka tysięcy leguńskich głodomorów wzywa

¹ „Blasverfahren“, „Schiessverfahren“ (niem.) — „napad fałowy“ i „napad artyleryjski“, dwa sposoby stosowania gazów bojowych; pierwszy polega na „nawiewaniu“ (z wiatrem) gazów z butli na przeciwnika, drugi na ostrzeliwaniu go pociskami gazowymi.
² Haller Józef — wówczas pułkownik, dowódca Drugiej Brygady; walczył przez pierwszy rok wojny na froncie karpackim. Dopiero w jesieni 1915 r. przeszła ta Brygada na Wołyń; tu w 1916 r. walczyły już wreszcie razem, na jednym froncie, wszystkie pułki Legionów.
³ Piłsudski zgłosił swą dymisję we wrześniu 1916 r.

na świadka honor i stawa przeciw sile, jakiej świat chyba nie widział od czasów niepamiętnych.

Od tej siły dostawaliśmy wszakże i kromkę chleba i zupę co dzień, i odzież, co na grzbiecie, i tę broń, co w rękę. Wszystko, czego się tkniesz, to ci właśnie ona siła użycza ze skarbów swych, a ty masz tylko ciało swoje tanie za cały swój majątek i ów kawałek duszy kołaczącej w piersiach.

Podaliśmy się do dymisji, składając podania nasze na świstkach, na marnym papierze, jaki się tuła przy froncie. Wyłożyliśmy wszystko pismem prostym, niewyszukanym, a szczerze, jakby słowa w życiu służyły do prawdy wyrażania, nigdy zaś nie miały wyręczać fałszu.

I już nam było jedno, czy sobie jakiś feldwebel niemiecki kradzione z tych ziem tłuszcze będzie w papier naszych cyrografów ¹ zawijał, czy też będzie sobie w piecu tym palił, bośmy działali bez żadnej ubocznej myśli, a tylko jak gdyby sama Historia patrzyła na ostatnie dnie naszego legionowego żołnierstwa.

Dnie już były do końca niedalekiego policzone.

Staliśmy nad rzeką Stawokiem, otoczeni przez Węgrów i czeskie brygady, przed nami na odcinkach Niemcy, a dalej w głębi, za Czechami, stały jeszcze cztery brygady Turków ².

Cóżeśmy wtedy wiedzieli, cóżeśmy słyszeli wtedy o kraju, pod niebem ku ziemie już nachylonym, zasia-

¹ *cyrograf* — zobowiązanie, dokument własnoręcznie podpisany.

² Turcja w czasie wielkiej wojny była sprzymierzeńcem Austrii i Niemiec.

nym ostrymi gwiazdami, przejęci wiatrem, który szedł z pól, omroczeni wielkim zapachem uwiądu lasów bezmiernych?

Nic nie wiedzieliśmy, co się w kraju wyrabia i co kto mówi, i nie liczyliśmy się z tym, co się ułoży w domu lub postanowi w dowództwie armij centralnych ¹.

Przemawiał jeno do nas, jak ogień między nami chodził płomieniem z miejsca na miejsce, uczynek Piłsudskiego, że dłużej honor służyć nam nie pozwala i lepiej rzucić wszystko.

Wtedy znów rozkazy przyszły mętne, że niby będzie powrót do kraju, czy też jakaś dalsza droga... Załadowali nas Austriacy, i wlokąc od stacji do stacji i nic nie mówiąc przewieźli do Baranowicz, Niemcom w podarunku ².

Przybyłem tam za innymi pod sam wieczór. Wielka stacja, pożyłowana gęsto szynami, niby zamek żelazny wyrwany z kutej bramy świata, między lasy potężne oraz błota straszliwe rzucony.

Niemcy powysypywali się z wagonów, dziękczynnie spojrzeli na spocony brzuch lokomotywy i poszli, każdy z jakimś tekturowym pudłem wiezionym z domu.

Ty zaś jesteś Polak, nie możesz od razu wiedzieć, gdzie i którędy, bo ciebie jest tak mało, że łatwo cię przeoczyć.

Pokręciłem się po dworcu w różne strony na próżno i wreszcie za innymi wyszedłem drogą, która wśród wielu

¹ *armie centralne* — armie „państw centralnych“, tj. Niemiec i Austrii. ² *Niemcom w podarunku* — na froncie póln.-wschodnim, litewskim, stała wtedy armia niemiecka pod dowództwem króla bawarskiego Leopolda.

innych wydeptanych znaków prowadziła, starannie ułożona z desek i połatana kamieniami.

Na gościńcu wiatr się podbierał mocny i przez czarne błota, traktem, osnuwał ciężkie sprzężaje wojenne.

A przez ludzi, wozy, konie, przez wszystko, skacze oschła, chuda litera gotycka niemieckiej nazwy pułków, dywizyj i innych urzędzeń wojskowych. Tę samą literę widzisz na słupach ostruganych, na sturęcznym drogowskazie, wszędzie, niby hasło przedziwnego wyroku, przyniesionego aż tu, między czarne błota i bure lasy.

Wyłożoną drogą szliśmy do „Soldatenheimu“¹.

Tu, w tych pokojach o tykającym pomiernie zegarze, gdzie łąta obsiada ceratę, a cerata kuma się z szydełkową robotą, zasiadają niemieccy żołnierze, przybyli czy to z Turynгии², czy z Bawarii tłustej, czy z zawziętych Prus. I tu znów mają tryb swojego domu swoiście urządzoney. Na ścianach Hindenburgi³, po stołach skacze kratka taniego drelichu, a między stołami uwijają się wysokie, płaskie siostry, sanitarne Walkirie⁴ w dymie owsianej kawy.

Tak oto za mieczem niemieckim wszędzie kuśtyka skrzętna niemiecka kądziel.

¹ *Soldatenheim* (niem.) — gospoda, świetlica żołnierska.
² *Turyngia* — państwo związkowe w Niemczech środkowych. ³ *Hindenburgi* — tj. portrety Hindenburga, zwycięskiego generała, w 1916 r. naczelnego wodza całej armii niemieckiej (późniejszego prezydenta Rzeszy Niemieckiej). ⁴ *Walkirie* — w mitologii germańskiej boginie boju (wskazywały tych, którzy mają paść w walce, dusze ich prowadziły do nieba); *sanitarne Walkirie* — sanitariuszki armii.

Z tego „Heimu“ ruszyłem przez mrok, długą szosą do Baranowicz, gdzie w którymś czworoboku niezliczonych koszar miało stać gęsto upchane, zbuntowane wojsko legionowe. Po jednej stronie domki kaprawe, po drugiej ciemny las, a w jego piersi wielkie przeciągi długich, jeziennych głosów.

Tyle już razy szedł tak człowiek w tych czasach i dościsnął swój oddział. Tyle już razy zalewał się potem i ramiona sobie przetrzącał dźwiganiem ubogiego dobytku.

Oto z brzękiem i furorem mijają cię wozy potężne, na wielkich kołach, lśniących jak ciemne gwiazdy, oto mocne, spasionie konie dmuchają ci na kark ciepłym swą siłą, oto lancknechty szerokie jak wielkie kufry jadą na kozłach wygodnych, ty zaś uwiązany do swego ciężaru przemykasz prawie chyłkiem po tej samej drodze.

Tak wlokąc się i kwapiąc znalazłem się w gęstwie śpieszących przez szosę niemieckich słów, zdań, zwrotów. Żadna zaś mowa o zmroku nie dźwięczy jak niemiecka, która zgrzyta i przydechami charcze, jakby się człowiek posuwał w chmurze kraczących wron.

Wyszedszy z zakrętu drogi spotkaliśmy pogrzeb, który posuwał się po skrajach lasu. W świetle łuczywa widać było orszak hełmów sunący poprzez pnie, między hełmami płynęła trumna, oblana złotym blaskiem. Przystanęli wśród krzyży, i nagle, jakby z tych hełmów błyszczących, z płaszczy kamiennych¹, wyłupał się śpiew chropowaty, który popłynął przez zmartwiałe gałęzie...

Umilkł.

¹ płaszcze kamienne — szare, z wyraźnymi liniami fałdów.

Wszystkie kaski¹ zbiegły się w wianek połyskliwy nad wykopanym dołem, z pobliza jęły trzaskać kraczące słowa pogrzebowej przemowy.

Wiemy, że to się dzieje wszędzie, gdzie ci Niemcy idą i walczą, że tak samo niosą trumny przez las tutaj, jak w Małej Azji, we Francji, w Rumunii i nad Bałtykiem. Tak samo kraczą nad dołem, i tak samo niby strzępy pożogi błyszczą wszędzie indziej ich pogrzebowe pochodnie.

Nareszcie minąłem miasto, wchodząc w olbrzymi kontyngent baraków. Zaraz tu swoich poznałem! Siedzieli za szybami okiennymi przy wątym świetle, całe pęki krótko strzyżonych, młodocianych głów, schyleni nad pisaniną czy nad poprawą ryszunku.

Tu dowiedziałem się, że stoimy w barakach, w których przedtem więzione były zbuntowane dywizje bawarskie.

Tu się też dowiedziałem, że od swego nasi nie odstąpili. Generałowie do nich przychodzą, namawiają, radzą, że mogą być legiony i bez Piłsudskiego, a żołnierz nic, tylko słucha i słucha, potem zaś nagle wrzaskiem potężnym wystrzela, że aż się mury trzęsą: — Niech żyje Józef Piłsudski!

Wszędzie nasi żołnierze, pełzający po norach, skuleni, zmęczeni. Jakby się to wszystko po ostatnim wysiłku układało na sen, coraz mniejsze, pomięte, pokurczone, prawie tyle miejsca zajmujące, co plecak.

Jeszcze tylko w czwartym pułku ucza się przydarzyła na cześć Piłsudskiego i Roi², jedyne z bryga-

¹ kask — hełm. ² *Roja Bolesław* — wówczas pułkownik, dowódca 4 p. Legionów.

dierów, który kroku w tym buncie przeciw Niemcom i Austriakom dotrzymał.

Więc śpiewy, i trąby orkiestry pułkowej jerychońskie, i zdrowia, w których człowiek wszystkie siły z siebie wyrzaskuje, a potem długie chodzenie do księżyca pod rękę z przyjacielem, a z wielkim bólem wszystkich marzeń stłumionym w piersiach; z oczyma w blask łagodnego światła utkwionymi, a z sercem porażonym nagłą wiadomością, że major Fleszar zabił się w szpitalu niemieckim w Słonimiu.

Dowódca VI batalionu I-ej Brygady.

Z daleka, od stacji, donosił się aż tu ciężki głos zderzających się wagonów, głos twardy, rzekłbyś pięści zwieranie, szerokich i żelaznych. Poprzez ciche powietrze, poprzez deszcz kropel ściekających w głęboką ciszę lasów, poprzez lasy, które tak lekko oddychają teraz zimnym powietrzem, poprzez białe łaty pierwszych śniegów, miękających w rowie, zrywał się ów metaliczny trzask zderzenia, jakby to dłonie jakoweś straszliwe zacierały się złowrogo.

Czyż istotnie nie byliśmy wówczas niby liliputy¹ zsypane w dłoń olbrzyma?

Nikt się nad tym nie zastanawiał. Rozważaliśmy wiadomości, które się tu do nas przedarły, że w kraju robi się Polskę, że tapetowane elektrycznymi guzikami, że obwieszona rurką telefonu wszechwładne komendy niemieckie ocknęły się nagle i przemówiły, i że je do tego

¹ *liliputy* — maleńcy ludkowie; nazwa z angielskiej powieści satyrycznej Swifta pt. „Podróż Gulliwierra“ (1726).

przynaglił nasz krok szalony, to jest ten, gdyśmy łachmany mundurów na szalę rzucili razem z naszymi dymisjami.

Lecz znów i te myśli rozpędzał nam krwawy czyn Fleszara. Dlaczegoż zginął major na samym progu nowych i lepszych może czasów?!...

Było w tym jakieś natchnienie niepojęte, polot bolesny i niecierpliwość najszlachetniejsza... Jak gdyby ów chory tok, który się w nas wszystkich zbierał, zawarł pan major Fleszar w swej piersi, i jakby ta fala piołunu, cała w nim jednym zebrana — porwała wszystkie tamy ciała i duszy jego.

Chodzimy długo po nocy, nie wiedząc gdzie i jak przez poświatę zimy, przez mgły i mróz wysyłać naszą wdzięczność za tym duchem.

II

Jeszcześmy się nie otrzęśli ze święta w czwartym pułku, jeszcze się nie jeden pomiędzy barakami włóczył, stukając do tych lub do tamtych drzwi nadaremnie, gdy nagle zakolysały się i wzburzyły wszystkie nasze dowództwa...

Z Komendy Legionów gruchnął fonogram, że już, zaraz, pułkownicy meldują się, zbierają i do Warszawy jadą, bo się tam Polska zrobiła ¹.

¹ *Polska się zrobiła* — mowa o akcie państw centralnych ogłoszonym w Warszawie 5 listopada 1916 r.; tworzył on z części zaboru rosyjskiego niezawisłe państwo polskie. Aktem tym chciały Niemcy i Austria pozyskać sobie sympatie w kraju i równocześnie zasilić się żołnierzem polskim.

Polska prawdziwa, po świecie głośnymi depeżami roztelegrafowana!

Polska, której głosem młodości przysięgliśmy pod Oleandrami¹, którą głosem udręczenia pozdrawialiśmy w tyłu bitwach, która się później w zmiennych kolejach wojny niedościgłym dymem okryła, którą nam co dwa miesiące obiecywał N. K. N.² — a myśmy odpowiadali, że nam Ją przywiezie na austriackiej podwodzie, z wędzonym boczkim i z cykorią.

Czyśmy się teraz cieszyli?

Staraliśmy się raczej nie mówić o tym. Gdy jest narzeczcie wyzwolona, niech sobie buja wolność naszej Ojczyzny i niech się za nami nie ogląda, którzyśmy gotowi siedzieć gdzie bądź na skrawku miejsca, za wszystkimi obrębami chwały i ceremonij, chociażby tu, w tym srogim obozowym więzieniu. Dobrze nawet, że nas ciężkie trzymają więzy, tym pewniejsza poręka przyszłości... Bo do

¹ *Oleandry* — w Krakowie, przed wojną, nazwa małego placu powystawowego u początku Błoń; w 1914 r. stało tu jeszcze parę budynków; z końcem lipca zakwaterowali się w nich Strzelcy, i stąd ruszyła 6/VIII pierwsza kompania kadrowa do Królestwa Polskiego.

² *N. K. N.* — skrócone: Naczelny Komitet Narodowy. Była to organizacja polityczna utworzona przez posłów polskich (sejmowych i parlamentarnych) zaboru austriackiego wkrótce po wybuchu wojny. 16 sierpnia 1914 uchwalili N. K. N. tworzenie Legionów polskich, walczących w związku z armią austriacką. (Tradycyjna nazwa „Legionów“ rychło się przyjęła i zastąpiła nazwy dawniej już istniejących organizacyj: Strzelców, Drużyn itd.). Politykę swą opierał N. K. N. na współdziałaniu z Austrią; było to zadanie trudne i niewdzięczne, zwłaszcza wobec chwiejności i nieszczeroci polityki austriackiej.

świadczenie uczy i zawsze tak się działo, że nie ten zbiera, kto sieje.

Nie zbierajmy! Z pustymi odchodźmy rękoma, by się jeszcze lepiej potwierdzić mogło, żeśmy się trudzili, siali, i że nareszcie wschodzi nasza robotą.

My we dwóch też, ja z moim młodszym bratem, poszliśmy pod rękę, drewnianym chodnikiem baranowieckiej ulicy, aby uczcić ten dzień, do najlepszej, „renomowanej“ kawiarni.

Mieściła się ona u Żyda, w nędznym murowanym domku, otoczonym kupami śmieci i nawozu. Zajęliśmy tu, by uroczyście spożyć podwieczorek, spleśniały salon z czerwonymi meblami, z niebieską tubą gramofonu w kącie i z obrazem rozkraczonego jelenia, w złotych ramach przez myśliwych zabijanego.

W wilgotnym pokoju, przy blasku świec, nad szklanekami herbaty, jedząc osobliwe ciastka z drzewnej kory, pęcznieliśmy od szczęścia.

Wszystkie słowa najgłupsze nabierały donośnego znaczenia przypowieści... Mieszało się nam od wspomnień wojennych, kipiała pamięć teraz nagle otwarta aż do najdawniejszych, wspólnych, dzieciennych czasów.

Jedne i drugie, wojenne i rodzinne, leciały razem w mrok przez kupę śmieci, przez ludzi i przez lasy, przez całą naszą dolę, ku temu brzegowi szczęścia, z którego zaczyna się i do którego powraca wszystko: ku białemu brzegowi kaftana naszej kochanej matki.

Jakże to dawno już oderwaliśmy się od niego, od złoty kłósów haftowanych na białej polu, i oto gdzieśmy przyszli? W te lasy i rozłogi, gdzie odpoczywamy przy

mętym światłem, wonią koni i żelastwa przejęci, głodni i brudni, a tak szczęśliwi!

Ale radość nasza była, że się tak wyrażę, prywatna. Nikt się wówczas od żołnierza I-ej Brygady nie doczekał wesołego hałasu przed oknem chytrych sprzymierzeńców.

Prawdziwe słowo i rozkaz i wiadomość o Polsce nie zostały nam, zbuntowanym żołnierzom, ogłoszone piątego listopada i nie powiedziały nam tego żadne telegramy przez cesarzów podpisane, lecz list Piłsudskiego na ręce pułkownika Śmigłego do nas.

Zebrałiśmy się przed południem, cały pułk, aby wysłuchać. Miało się to odbyć w paradzie, ale niech nam paradą nikt głowy nie zawraca!

Złamaliśmy całą paradę, czworobok się wkląkł, zgniótł, rozsypał, i z całego pułku naszej piechoty zrobił się jakby szaniec ubity, tak gęsto głowa trwała przy głowie.

List był o tym, że nam Komendant dziękuje, żeśmy wiele dokonali, że jednak teraz, chociaż jego nie będzie, mamy wrócić do pułków, gdy Ojczyzna powstaje.

Trudno powiedzieć, żeby nas list Komendanta nadto ucieszył. Było nam żal, że nas Piłsudski dalej nie prowadzi, i nie mogliśmy zrozumieć, jak się to ma dziać, że dla nas wszystkich jest miejsce w powstającej Polsce, a dla niego jednego brakuje tego miejsca.

III

Minęły jeszcze dwa, trzy dni, i już zaczęła Komenda Legionów sypać rozkazami do odmarszu.

Wiedzieliśmy już, że wracamy do Polski, że nareszcie staniemy tam załogą po dwóch latach wojny. Zaczęły się

teraz szachry straszliwe, bo skoro związki brygad rozluźnić się miały na miejsca postoju poszczególnych pułków, trzeba było i każdy pułk musiał udzierać i rwać dla siebie ekwipunek wojenny, ile się tylko dało ¹. Ze względu na oddawanie majątku austriackiego i konieczne wyrównanie rachunków powstał wielki ambaras.

Jakże tu w dwa, trzy dni wyrównać przebrane dawno mięso ², jakże tu wyliczyć się z zapasu porcyj żelaznych, zjedzonych dawno temu, jakże wybrnąć z tego, z czego nikt na ziemi ani na niebie, ani nigdzie nigdy nie wybrnął, a mianowicie z rozdziału koni pomiędzy wojskiem polskim?

Zaczął się więc garus i ciągnięcie dobytku na wsze strony i żalosne wodzenie koni z kwatery na kwaterę. Rachmistrze latali z komendy do komendy, przenosząc z miejsca na miejsce całe stosy papieru, poplamionego smalcem i liczbami.

Mogłem się z tego szczęśliwie wywinąć, zaproszony w delegacji na uroczystość 1-go pułku ułanów.

Wyruszyliśmy koło południa, z oficerami kawalerii, w nadziei, że jak konie dobrze pociągną, to na wieczór staniemy u celu, w Iwanowicach, gdzie kwaterowali na wypoczynku Beliniacy ³.

Wkrótce minęliśmy srogie urządzenia wojenne Niemców i całą wieżę babelską wszystkich urzędzeń towaro-

¹ Chodziło o to, by rozliczenie się z intendaturą austriacką było dla pułków legionowych jak najkorzystniejsze. ² *przebrane mięso* — wybrane ponad wyznaczoną ilość. ³ *Beliniacy* — tak zwano pierwszy pułk ułanów Legionów polskich, od nazwiska Władysława Beliny-Prażmowskiego, organizatora pierwszego oddziału jazdy polskiej w 1914 r., później dowódcy pułku.

wych, domów z owsem, gór mięsa, piramid kaszy, niezliczonych składów amunicji.

Zaczął pomykać z obu stron drogi kraj luźniejszy, bardziej do samego siebie i do spokojnej ludzkiej pracy podobny. Wzgórza falujące, i jak węzeł szarego powroza rozwiązany pośród nich splot leniwych ścieżek i dróg. Trochę pola, ugoru, skrawki szmaragdowych strzępów oziminy, a potem znów całe padoły nieurodzaju, splątanych cierni i głógów. Chaty niskie, cudem niepojętym od wieków na własnej słabości wsparte, około nich pokruszona wszędzie uboga codzienność. Z kijów plecione przełazy, które czegoż chronią i cóż grodzą gładkim piszczelem? Drzewa samotne, które kogoż czekają cieniem swym rozcieńczonym, gdy nikt pod nimi nie mija?

Oficer mi powiada, że jedziemy przecie krajem Mickiewicza, — tu zaraz niedaleko jest Nowogródek, a znowu indziej w sąsiedztwie leży Świteź, jezioro. I że ich, naszych kawalerzystów, Mickiewicz „zbujał“, bo cała Świteź jest takim samym jeziorem jak każde inne. Badali przecież jezioro, na „rachunek“ Mickiewicza wjechali do wody, koniom po brzuchy, lecz mimo to nic się osobliwego nie okazało.

Gdy sobie uzmysłowiłem, że istotnie jedziemy ziemią Mickiewicza, jakby coś wionęło mi przez oczy, i już we wszystkim, na co spojrzę, drżą słowa wierszy niezapomnianych. I we wszystkim, co z jednego w drugie przechodzi, gdzie się łączy nikły szum pól z mocnym głosem lasu, i gdzie się ziemia z powietrzem styka, i na wszystkich granicach horyzontu, i wszędzie, gdzie się drogi gu-

bią czy zaczynają, wszędzie się już plecie i powtarza ten rytm poezji nieśmiertelnej.

Z naszej drogi wydobyliśmy się na trakt, który był dawnym traktem Napoleońskim Wielkiej Armii ¹.

Zsiedliśmy z bryki i aby uczcić starych żołnierzy, co się tędy wlekli ongiś, poszliśmy spory kawał piechotą, raz po raz przystając. Obzieraliśmy się na wszystkie strony, aby pilnie zapamiętać te miejsca trudów i znojów, sławnych w historii świata.

Szeroka na ziemi, ogromna w dziejach droga płynie wśród ścieżek, pól i pagórków. Ściele się tu gruda rozdeptana i, jak wszędzie, kruszą ją wciąż zwyczajne stopy ludzkie. W rowie przydrożnym, jak wszędzie, gnije zbutwiały liść, a zeszcza gałąź włóczy się między drzewami zwyczajną swą koleją. Pod tysiącem bruzd tai się tysiąc strzępków cienia; i czegoż by szukać w potocznej koleinie kół?!

Dopiero gdy noc zeszcza, gdy trakt oprzędły długie smugi wichru, a wierzby stuletnie do olbrzymich ptaków stały się podobne, w blasku księżycy piórami szeleszczących, zdać się mogło, iż jest to zaprawdę miejsce wielkiego spotkania, którego strzegą przeogromne puchacze, rozsiadłe właśnie tutaj na brzegach Przeznaczenia.

Zajechaliśmy do folwarku Beliny późnym wieczorem. W miłej gościnie strawiliśmy czas na siedzeniu przy ogniu i na gadaniu o wszystkim, co się żołnierzowi przez głowę przewija, gdy późny płomień trzaska na kominie, a sławę uciulało się już jaką taką, przebywszy wielki trud.

¹ *trakt Napoleoński* — droga, którą w 1812 r. ciągnęła na Moskwę wielka armia Napoleona I.

Na drugi dzień mszę odprawiono się przy ołtarzu polowym, umieszczonym w okopie. Było czytanie ostatniego rozkazu przed wymarszem do kraju, po dwóch latach legionowej wojny, była rewia pułku, formowanego przez tyle bitew z takim trudem, wreszcie z szarakami z miejscowych zaścianków¹ gorące bratanie.

Tuś dopiero mógł widzieć, jak się Polska po tych kresach rozsiała! I jak się trzyma ciągle jeszcze na strzępach posiadłości.

Zagarnęliśmy razem panów różnych z paniami wiecznie spłoszonymi na bryki, na powozy, i kawalkadą ruszyliśmy do wsi między chałupy, szmaragdem mchów obrosłe; do tego obejścia, które bucha dymem głośnych smalców od rana, i gdzie przy piecu potwornym ułani w czerwonych rabatach jak diabli smażą ucztę, rozmaite potrawy smoląc, pieprząc i soląc.

Na tej uczcie, gdy ci zimno stopy mroziło, głowę zaś gorąc obejmował, a znów za gardło dym papierosów chwycił, dopieroś Polski uświadczył, zwłaszcza gdy na dobitek wszystkich dobitków stary Polonus podniósł się i błogosławiącym głosem wyrecytował wiersz przeciw obcej potędze niemieckiej, po nocach bezsennych układany. I gdy w końcu oczyma potoczywszy wyróżnął się ów Polonus w starą pierś suchymi kułakami oraz zawołał:

— Ja, panowie, pana Piłsudskiego nie znam, ale myśmy słyszeli, ale my wiemy, co to jest Sybir, ale my was widzimy, waszą biedę i krew!

¹ szaraki z zaścianków — drobna, „szaraczkowa“, zagrodowa szlachta na Litwie.

Tuś dopiero moresu nabierał, gdy wszystkie żubry¹ na raz płakały, a orkiestra ułańska w tkliwości ostatecznej darła się piekielnie ze wszystkich wielkich trąb.

Wysypaliśmy się na wieś i lud ze szlagonami hołubili, głodnym dzieciom półnagim dając torty, kanapki, kawior i papierosy.

Potem pędziło się galopem, na cześć starego kresowego płaksy, który w tej okazji całkiem się już przy stole obluzował i wypowiadał długą mowę cztery godziny, podczas gdy my z wielkiego entuzjazmu przez płoty i rowy skakaliśmy na koniach.

Długó się tak jeździło i żegnało, i wodom Świtezi przyświadczało, gdy oto nagle syknął z Komendy Legionów rozkaz, że jego królewska mość król Leopold Bawarski, dowódca wojsk, przed oddaniem Legionów z frontu chce oglądnąć tę przyszłą polską siłę zbrojną.

Nikt defilady nie chciał, bo ludzie butów nie mieli, a mrozy szły w lasach baranowickich i pluchy coraz gorsze, i wiatry ostre, bardziej na żołnierza zawzięte niż psy.

Tam sobie w dowództwie postanowili, a tyś jest co? Tyś jest szara masa, tyś jest klej, kit, czy ołów, który musi się wlać w te ramki!

Na dzień oznaczony pogoda ustaliła się tak straszna, że się serca najostrzejszych dyscyplinników² pościskały. Śnieg szedł obfity, kratką, to w prawo, to w lewo, potem jeszcze trochę wykręcał w różne strony, nawet pod górę

¹ *żubry* — żartobliwe nazwanie zamożnej szlachty starego typu, o mocno zacofanych wyobrażeniach politycznych i społecznych.
² *dyscyplinnik* — zwolennik ścisłej karności.

padając, aby się w końcu poziomą fastrygą wyciągnąć między niebem i ziemią już bez żadnego końca.

Wołajże tu, komenderuj, gdy głos nie niesie i obok ciebie pada, na trzy kroki nawet nie odleciawszy.

Wyszliśmy z nor i schowków wszystkich, w pełnym rynsztunku zaczęliśmy ciągnąć pod górę, ku tej stronie, gdzie w czworoboku lasów rozciąga się olbrzymi plac ćwiczeń. Pułki nie trafiały na swoje miejsca, bo się wszelkie ślady w śniegu pogubiły, a mgła wilgotna legła na wszystkim, tracąc do niepoznaki wszelkie zakroje lasów.

Tedy z jednego ustawienia w drugie, z wielkim mozołem przez kępy śliskie, przez wody, przez lód rozdrobniony, ostry jak szkło.

Adiutanty gonią na koniach, podobne słupom śniegu, gdzieś z daleka pokazuje się wysoki mur kawalerii, a sponad kasków wieje im kryzą niesamowitą dech szronu.

Pułki błędzą, przewalają tędy i siędy, łączą i rozłączają, nareszcie wszystko jakoś się utrwaliło między pogonią wichru na tym szalonym miejscu... Biała fastryga śniegu pędzi niepowstrzymanie, a mgła zasłania, kryje, że w końcu nie wiadomo, co ludzie, a co las, co sztywne masy pułków, a co rude połacie ośnieżonego boru.

Adiutanty się wyciągnęły pod sznur, gdyż znaczyć będą drogę defilady. Stoją w srebrnych szamerunkach ¹,

¹ *szamerunki* — sznury i pętle na stroju (np. na mundurach huzarskich).

w wielkich kołpakach futrzanych sławnego Totenkopffhusaren-regimentu ¹.

Trąbka jakaś gdzieś pisła, przez wielką mgłę. Jedna, druga, dziesiąta.

Coś tam w mglistej oddali jęknęło, chrupło i zakaszłało. W białej śnieżycy węzełek sztabu ściągnął się, zsupłał, i znów rozpukł ² na kilka czarnych grupek.

Ktoś komuś dał wreszcie znak, futrzane czapy adiutantów stanęły nieruchomo, orkiestra w zamarznięte trąby dmie, głos przez fastrygi śniegu ze złotych blach wylata, i oto już idziemy.

Pola nie widać, śnieg sypie, idziemy zamarznięci, wicher drzewa mierzwi, suniemy sztywni, sini, oczy szronem zabite, twarze wiatrem zsiekanie, powieki przymrużone, — nogi machają wysoko, — lód dzwoni, — trąba dmie, — wicher dołem polatuje, — lasy się pogubiły w zawiei.

Przeszedł pułk jeden, drugi, — ręka pod sznur wywija, — spod bosej pięty piechura leci gruda zmieszana. Już strugę ciemną, już ziemiste koryto wydeptali. Błoto pryska na srebrne szamerunki, na orły czarne, na haftowane trupie główki, na twarze junkierskie ³ bliznami poznaczone, na dołmany ⁴; adiutanty stoją nieruchome, jego królewska wysokość salutuje, — idziemy pasem rozrobionej ziemi, orkiestra dmucha w zamarzniętą blachę,

¹ *Totenkopffhusaren-regiment* — nazwa pułku huzarów niemieckich, od umieszczonych na futrzanych czapach oznak: trupich głów (niem. „Totenkopf“). ² *rozpuknąć się* — rozpęknąć się. ³ *junkry* — tak nazywano zamożną, butną szlachtę pruską. ⁴ *dołman* (z węg.) — krótka burka huzarska, zarzucana na lewe ramię.

z oczu nam łzami płynie mróz, — lasy się z śniegiem gonią po brzegach widnokręgu.

Suniemy wskrós wezbranych wichrów zimy, chlapiąc błotem na boki, na adiutantów, na sztab, w lice królewskiej mości, sztywni, szarzy, chrzęszczący, niby zeschnięty las...

Teraz jestem gdzie indziej. Stoję na moście, nad polską rzeką siwą, ludzie nam tu śpiewają nasze strzeleckie pieśni, naprzeciw białe błonia, z boku miasto prastare, a dołem, po głębokiej, czarnej wodzie, płyną zielone kry w zwiewnych wieńcach ze śniegu.

WYPRAWA WILEŃSKA

WYPRAWA WILEŃSKA

1919

Nowy Świat ¹, dorożki, tramwaje, gwar, złote smugi światła, białe mleczce elektrycznych lamp, Zjazd ², wspinałe pudło królewskiego Zamku, który przestronnymi tarasami tak godnie zstępuje w fale Wisły, — wszystko to mija szybko.

Most.

Zimne tchnienie rzeki, niosącej pierwszą wiosnę z ciemnych dalekości, — nieskładne ulice Pragi.

Wyprawa wileńska podjęta z wiosną 1919 r. przez Józefa Piłsudskiego, wówczas Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, miała na celu zakreslić i ubezpieczyć północne granice Rzeczypospolitej. Położenie zmuszało do stanowczych rozstrzygnięć. W miarę jak wojska niemieckie ustępowały z ziem dawnej carskiej Rosji, które obsadziły w czasie wielkiej wojny, opuszczone przez nich obszary zajmowała armia bolszewicka; w ten sposób przez Litwę zbliżała się ku granicy b. Królestwa Kongresowego.

Warunki, w jakich odbyła się wyprawa, były niezmiernie trudne. Świeżo wskrzeszona Rzeczpospolita nie mogła przecież jeszcze, w ciągu pięciu miesięcy, dokonać organizacji państwa i jego siły zbrojnej. Wprawdzie w ostatnich dniach grudnia 1918 r. wyparto z Poznańskiego Niemców, ale od strony czeskiej zagroził niedawno najazd na Śląsk Cieszyński, a w Małopolsce wschodniej walki nie były jeszcze zakończone.

¹ Nowy Świat — jedna z głównych ulic Warszawy. ² Zjazd — nazwa ulicy.

Już blisko. Widać tu już oddziałki piechoty.

Żelazne wozy wojskowe dudnią w mroku, a krańcami gościńca śpieszą przysadziste podwozy z wysokim garbem oficerskich walizek.

Dworzec Brzeski ¹.

Na wszystkich torach stoją ciężarowe pociągi, ktoś ładuje jakiś dobytek w ich czarne, czerwonymi ramami obrzeżone czeluście. Kilku sierżantów przebiega z pękiem karabinów. Jakaś sekcja piechoty włóczy się od drzwi do drzwi. Zgięte plecy piechurów, upakowane wysoko, sięgają wyżej głów, migając w cieniu niby obtłuczone nagrobki.

Na stacji nic nikogo nie obchodzi, każdy zajęty jest wyłącznie sobą. Jasna rzecz, że to jakiś gwałtowny wymarsz. Nikt dla nikogo nie ma czasu, wszyscy klną.

— Gdzie komendant dworca?

Urzednicy kolejowi pokazują, zapewne po raz tysięczny tego wieczora, stronę stacji usianą światełkami, gdzie ma być ów komendant.

Idę tam, po drodze spotykam ułanów, którzy wloką siodła. Strzemiona i sprzączki dzwonią po bruku. Kawalerzyści, omotani w uprząż, klną straszliwie.

Z mgły i przekleństw wyłania się niespodzianie komendant dworca. Poznać go bardzo łatwo po trzech oficerach i kilku podoficerach, meldujących i domagających się czegoś nieustępliwie.

¹ Dworzec Brzeski — w Warszawie, na Pradze; dla linii kolejowej łączącej Warszawę z Brześciem nad Bugiem, ważną stacją węzłową.

Udziela mi informacji, a przeplata je wciąż numerami pociągów, transportów, oddziałów i bateryj.

— Proszę pana, — mówi — co się będą chwalił, no nie? My stara wiara, podziurawiona, okryta ranami, nie dla chwały się to robi. Ale pan sam rozumie, dwadzieścia pięć transportów dziennie! A do tego żołnierz nasz nie umie się jeszcze wagonować. Ten pośpiech, panie kolego, ten straszny pośpiech!... Ułani dopiero w Ostrowiu¹ spotkali się ze swymi siodłami! Piechota dopiero tu, na stacji, dostawała karabiny! Dotąd pałkami się gimnastykowali! Proszę pana, ten rekrut nie wie jeszcze, co się robi z ręcznym granatem!! Czy to się bierze w zęby i pali jak cygaro, czy to trzeba na lufę nasadzić i wystrzelić. Menażek nawet nie mają! Czort bierz! Zamiast menażek miednice noszą pod tornistrami na siedzeniach! Patrz pan na nich z tyłu, każdy blaszaną pełnią świeci.

Przechodzimy na drugą stronę, po drodze wrzeszczę na mego ordynansa, który już się gdzieś zgubił.

Wstąpiliśmy do gospody żołnierskiej, ufundowanej przez panią Paderewską². Duże bielone ściany, piaseczek higienicznie zgrzyta pod butem, w poprzek świeże drewniane stoły. U skrajów sufitu deseń polnych kwiatów dodaje całej sprawie polotu. Przy kasie miła, biała „ligawka“³ i dwaj żołnierze nad nią zwieszeni.

¹ w Ostrowiu Mazowieckim, w woj. białostockim (między Narwią a Bugiem). ² pani Paderewska — żona znakomitego artysty Ignacego Paderewskiego; wówczas był on prezesem Rady Ministrów i ministrem spraw zagranicznych. ³ „ligawka“ — tak żartobliwie nazywano członkinie „Ligi Kobiet“, związku, który miał na celu opiekę i pomoc dla żołnierza polskiego w polu.

Przysiadam się do oficerów kolejowych, którzy oglądają długą, glansowaną laurkę ¹.

Jest to jubileuszowo wykaligrafowany rozkład jazdy pociągu Naczelnego Wodza na front. Jemy chleb z szynką; mój Boże, herbata kosztuje tu tylko dziesięć fenigów! ²

Nagle zaczynają drzeć szyby, zajeżdża pociąg.

Nie pociąg, a wspaniała pracownia wojskowa. Chodzimy, oglądamy, dotykamy.

U Naczelnego Wodza w pokoju są nawet firanki, fotel, kanapa! Dalej apartamenty mieszkalne, pokój do narad; wszystkie wozy połączone telefonicznie. Osobny wagon z aparatem Hughesa ³. Przed małą klawiaturą siedzi tu jakiś pan pośród bębnow z drutami i próbuje swoich arkanów tajemniczych. Nad klawiaturą umocowane jest wrzeciono z błyszczącego mosiądzu, które w czasie pracy aparatu obraca się z niez mordowaną szybkością.

Ten i ów przebąkuje o Wilnie, ale nikt „temu“ nie wierzy.

Naczelnny Wódz ma przybyć dziś w nocy, i jazda! Dokąd?

¹ *laurka* — ozdobny papier do pisania, opatrzone zazwyczaj u góry jakimś godłem lub winietą, używany dawniej na powinnowania, adresy itp. ² *fenig* — drobna moneta; setna część marki, ówczesnej jednostki monetarnej w Polsce. ³ *aparat Hughesa* (czyt. hjusa) — aparat telegraficzny, nazwany tak od angielskiego wynalazcy; klawiatura (w rodzaju maszyny do pisania) pozwala nadawać depesze nie w formie znaków telegraficznych Morsego, ale literami — tak że stacja odbiorcza odczytuje na taśmie papieru tekst słowny.

Na wojnę; widać to choćby z tego, że nikt nie wie dokąd i kiedy.

Przespaliśmy w wagonach, czternastego kwietnia obudziliśmy się w Rembertowie ¹.

Znów czekamy.

Nareszcie!

Koło dwunastej w południe przyjechał samochodem Komendant Piłsudski. Wskoczył z wozu. W szarym wojskowym płaszczu, naprzód pochylony, idzie ku nam szybko.

Przed nami las szumiący, za nami pociąg, nad wszystkim niebo ciężkie stropione, karetka samochodu pyka u podjazdu, wzdłuż rampy wysztyftowany pluton skautów, którzy stanowią osłonę Naczelnego Wodza. Chłopaki broń prezentują, my z boku wyciągnięci jak struny, tylko wiatr poły płaszczów odwiewa, — Komendant przyjmuje raport.

— Żebyś wiedział, — mówi mi szeptem kolega — wszystko tak samo jak na Elbie ².

— Na jakiej Elbie?

¹ *Rembertów* — wieś i letnisko o 8 km na wschód od Warszawy. ² *Elba* — wyspa włoska na Morzu Śródziemnym. Od 1802 r. należała do Francji. Kiedy Napoleon I po klęsce pod Lipskiem i następnych niepowodzeniach wojennych musiał się zrzec władzy cesarskiej, wyznaczono mu Elbę jako miejsce pobytu, a zarazem jako kraj jemu poddany. Ale cesarz niebawem opuścił wyspę z garstką wiernych żołnierzy, powrócił do Francji i zdołał tu raz jeszcze na czas krótki („sto dni“) objąć władzę. Jak wszystkie ważniejsze wydarzenia z życia Napoleona, i ten powrót z Elby przedstawiany był na wielu rycinach i sztychach.

— Że niby tego owego, nic, wojska mało, jeden plutonik, kupka oficerów, a potem dopiero ze sztychu wynika, że to była strasznie ważna historia. Na przykład, powrót Napoleona do Francji!

— To zrób sztych — odpowiadam.

Teraz już jedziemy.

Wszyscy głodni jak psy. Ogromna uciecha, bo od razu wołają na obiad do wagonu restauracyjnego.

Zupełny Wersal¹, — na stołach kwiaty. Nad obrusami, niby roje jasnych muszek niebieskich, niezapominajki.

Rotmistrz Wieniawa wygląda ciągle przez okno i przy każdej wioszczynie, przy każdej chałupie mijanej, pyta, czy to już Wilno.

Okazuje się jednak, że z Wilnem nie ma żartów, — w wagonie restauracyjnym nie wolno palić. Komendant zrobił ślub, że dopóki Wilna nie zdobędzie, nie zapali.

Jest niezwykle ożywiony, jego zazwyczaj blade policzki różowią się lekką łuną. Na skroniach łśni wypukły system żył, a brwi ustawicznie drżą w wesołych, niemal drapieźnych półuśmieszach.

Naprzeciw Piłsudskiego siedzi piękny pan Osmołowski, zacny pan Prystor i pan Raczkiewicz. Wszyscy za-

¹ *Wersal* — pod Paryżem. Od XVII w. zamek wersalski był siedzibą królów francuskich. Wyszukana wytworność dworu królewskiego stała się przysłowiowa; stąd wyraz: „Wersal“ oznacza przenośnie wykwintne formy zachowania się, przepych urzędzenia, itp. Obecnie zamek mieści muzeum narodowe; w czerwcu 1919 r. tu podpisano znany traktat pokojowy.

ciągają z litewska. Mówi się jeszcze o warszawskich nowinach i sprawach, ale raz wraz rozmowa ta utyka.

Komendant wzywa to tego, to owego specjalistę. Kiedy przejdą wszystkie transporty z piechotą? Jak jedzie artyleria? Czy chleb i żywność w porę nadąży? Jak stoimy z amunicją? Kiedy Belina dostanie swoje wagony z owsem? Czy można rozmawiać hughesem z Warszawą?

Jest to właściwie zbieranie cugli w rękę. Ostateczne ułożenie wszystkich kolejności na szerokim polu działania od Baranowicz po Wilno.

Jedziemy wielkim, smutnym krajem. Po obu stronach płynie szara równina. Niskie, ślepe chaty, jakaś droga urwana, jakieś światło tonące samotnie w mrokach. Na niebie zamek chmur, który rozpada się w nicości zagaśłego dnia. I znów tasiemeczka kusej steczki¹, biegnąca cicho od głośnego wagonu daleko w pochyłą szarą pól.

Ciągle mijamy długie transporty wojsk.

Wagony, jak ciężkie ptaki, machają na wietrze doczepionymi u dachów czarnymi skrzydłami sośniny, z uchylonych drzwi wozów bucha śpiew młodych rekrutów, a w różowych, spoconych kłębach jednookiej lokomotywy rzekłbyś sama krew kipi.

Wyprzedzamy długie, tak ciche, iż zda się zadumane pociągi artylerii. Armaty węższą przestrzeń zadartymi w górę lufami, koło których, niby skrawki nocy, chwieją się czarni kanonierzy.

¹ *steczka* — ścieżka.

W pociągu wre normalna praca sztabowa. Oficerowie operacyjni¹ ślęczą nad szeleszczącymi mapami, na których koło Lidy, Baranowicz i Wilna, niby czarne i niebieskie kłosa, wiją się strzałki różnych kierunków marszu. Telefon woła z wagonu do wagonu, a w plutonie osłony, złożonym ze skautów, wszystko jak w polu. Któryś z żołnierzy dłubie coś koło puszki z konserwą, jedni śpią, drudzy gonią młodymi oczyma drżące w głębokościach nocy, czerwone iskry lokomotywy.

Obudził mnie ostry głos, raportujący ilość batalionów, bateryj, szwadronów. Wyjrzałem przez okno.

Był wczesny ranek. Przez mgłę, czy parę lokomotywy, szarzał równy gont czapek² prezentującej broń kompanii honorowej. W pośrodku stał generał Szeptycki i równo, wyraźnie, składał raport. Piłsudski naprzeciw, w płaszczu, w rękawiczkach, przy szabli.

W głębi rozbity dworzec z polskim napisem: S k r z y b o w c e.

Poodał, na klombie, dzwoniło uzdą kilka koni i dyszał spocony samochód. Dalej żółta droga, kilka chat przysiadłych we wgłębieniu, ciemny kraj lasu, dwie białe wieże jakiegoś kościoła.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że śnię: mgła, czy para, raz wraz przesłaniała dowódców. Szary zrąb piechoty, to się twardo wyszczególniał, to nikł. Lub znów

¹ *oficerowie operacyjni* — opracowujący szczegóły operacyj wojennych, tj. zarządzeń i działań, przy pomocy których dowództwo kieruje armię na właściwe odcinki i przeprowadza swoje wojenne plany. ² *równy gont czapek* — linia żołnierskich czapek z daszkami, przypominająca zębatą krawędź gontowego dachu.

widziałeś dokładnie twarz każdego szeregowca i każde drgnienie ust generała Szeptyckiego, rzucającego w senną ciszę poranka cyfry batalionów, szwadronów, bateryj.

W okrągłym szkle powiększającym, które adiutant generała zawsze za nim nosi, odbijały się leniwe chmury litewskiego nieba, podobne w kryształowym przeźroczu do pulchnych naleśników.

Wkrótce nadjechał generał Lasocki, mąż średniego wzrostu, o twarzy zsieczonej wiatrem i mrozem w siateczkę czerwonych żyłek. Jeszcze za chwilę, generał Rydz-Śmigły, taki sam jak zawsze, lekko uśmiechnięty, silny i spokojny.

Generałowie poszli na naradę do Komendanta, myśmy zaś przysłuchiwali się z żywą ciekawością procesowi, jaki powstał między podpułkownikiem Beliną a szefem sztabu generała Lasockiego, kapitanem Wolffem, o baterie.

Otrzymały już rozkaz te baterie, czy nie otrzymały? — tak, — ale można je zawrócić, — nie, — już są zadyrygowane¹ gdzie indziej.

Kłótnia o baterie, o jeden, drugi batalion rezerwy, to charakterystyka wielkiego przedednia bitwy w każdym sztabie.

Kłóćmy się już całą gromadą.

Ciągle przechodzą obok, wzywani do Naczelnego Wodza, odnośni referenci. Mistrz polskiego kolejnictwa wojskowego major Brzozowski, w skórzanym kubraku, kro-

¹ *zadyrygować* — skierować, wskazać cel i kierunek drogi.

czący tajemniczym krokiem Sherlocka Holmesa¹, podpułkownik Stachiewicz, kwatermistrz Rostworowski, który tyle ma kłopotu z chlebem.

Jadą pełne wagony. Chleb w nich stoi kolumnami, jak świeża cegła w cegielni, ale tego wszystkiego za mało. Zwłaszcza że aparat Hughesa jakoś jeszcze nie działa, połączenia telefoniczne z najbliższą stacją nie funkcjonują. Każdy pociąg puszcza się jeszcze z wielką niepewnością i szczerze mówiąc „na wariata“.

— Dwa transporty wysyłamy — objaśnia kolejarz wyraźnym lwowskim akcentem — i czekamy, aż jeden wróci; wtedy znowu... I tak się, panie kochany, kołomąci².

Połączenia telefoniczne, hughes, transporty... Jakże dokładnie widać teraz ryzyko wielkiej operacji bojowej. Jedno niedociągnięcie, jedna niedokładność, a najlepszy plan przemienić się może w klęskę.

Belina tłucze prętem po cholewach, że, jak nie dostanie owsa, nie wyruszy. Konie od wczoraj stoją o suchym pysku.

Nikt w to nie wierzy, każdy wie, że na pewno żarły, że tam jakiś zapas na pewno jeszcze jest; któryż ułan miał kiedy dosyć owsa?! Ale ostatecznie trudno, by brygada kawalerii ruszyła marszami kilkudziesięciowiorstowymi bez furażu³, nie nakarmiwszy koni.

¹ *Sherlock Holmes* — postać genialnego detektywa (wywiadowcy), znana z poczytnych powieści szkockiego pisarza Conan Doyle'a. Sherlock Holmes dzięki wrodzonej bystrości, drobiazgowej uwadze i zimnej krwi rozwiązuje najbardziej zawikłane i zagadkowe sprawy. ² *kołomącić* — kręcić. ³ *furaż* — żywność dla koni, obrok (owies, siano i słoma).

Dziś rano miało przyjść piętnaście wagonów owsa. Ciągle ktoś wygląda w stronę, skąd nadchodzą transporty.

Nic, — cisza... Sosny machają gałęziami nad torem, wrona jakaś przeleci po plancie ¹.

Na dobitkę wszystkiego dowiadujemy się, że most na rzece Dzitwie ² jest zerwany. Dłubie tam koło niego dzieściu uzbieranych nie wiadomo skąd ludzi, wydziwia tam podobno nad nimi jakiś wyższy oficer saperów, ale ileż tego mostu uciupią ³ przez dzień?!

Most musi być gotów pod ciężkie wozy jutro o świcie.

Major saperów szuka gorączkowo po całym froncie jakiejś kompanii saperskiej, szuka konno, samochodem, wszystkich spotkanych oficerów łapie za guzik, ale któraż grupa, dla powszechnego dobra, pozbawi się swej własnej saperskiej kompanii?

Wreszcie znużony bezowocnymi wysiłkami rzuca się oficer saperów do aparatu.

W telefonie słyszysz grupę zaniemeńską, i zwołujące się baterie, i kilka ostatnich słów dywizyjnej dyspozycji, i kłótnie taborytów ⁴, i jakąś komendę pułku. A w środku zrozpaczone wołanie:

— Nie przerywać! Rozmowa sztabowa! Nie przerywać!

Belina chlaszcze się prętem po cholewach, owsa jak nie ma, tak nie ma.

¹ *plant* — cała szerokość drogi zajętej („splantowanej“) pod tor kolejowy. ² *Dzitwa* — prawoboczny dopływ Niemna. ³ *uciupać* — tu w znaczeniu: urobić, zrobić. ⁴ *taboryci* — żartobliwa nazwa nadawana żołnierzom z taborów wojskowych.

Jakże to będą szły te konie bez owsa przeszło sto kilometrów?!

Ostatecznie, w miarę rosnących niepokojów dnia, powstają dwie szkoły¹: jedna twierdzi, że wszystko idzie normalnie, druga, że kto wie czy nie lepiej było... Tak, ma się rozumieć, takie rzeczy trzeba było inaczej przygotować! Trzeba było wpierw zwieźć zapasy żywności, amunicji, a potem dopiero pchać transporty z wojskiem.

Wyznawcy tej „szkoły“ patrzą z troską i współczuciem na nowo nadchodzące pociągi.

— Bo żeby to jeszcze bił się stary żołnierz, — mówią — ale to przecież rekruci. Do cholery jasnej, sami rekruci!

Rekruci owi jadą na wojnę z pięknym animuszem. Wszystko jest dla nich nowe, wszystko ich bawi, zajmuje, śpiewają, hałasują, czepiają się wagonów, skaczą po dachach, jak mały czepiają się drzwiczek, stopni.

Rozpytujemy urzędników o kolejność transportów.

Pewne już jest, że owies przepadł jak kamień w wodę. Na tym drobnym szczególe może się wszystko przewrócić. Uderzymy na Lidę, Nowogródek, Baranowicze, a tymczasem Belina nie ruszy z miejsca. Siły bolszewickie z Wilna opamiętają się, zbiorą, ściągną i spadną na nas z północy od flanki²...

Pojechałem w odwiedziny do dywizji Śmigłego, może przez ten czas owies sam się jakoś znajdzie?

¹ *szkoła* — tu w znaczeniu: opinia, pogląd. ² *flanka* — bok: „skrzydło“ wojska.

Na kolejach, na drogach, na rozstajach widnieją jeszcze napisy niemieckie. Ostatnie znaki, ostatnie sztywne słowa strzaskanej potęgi niemieckiej.

Błoto na trakcie nie do przebycia. Ciężarowe automobile wbiły się w glinę, dyszą, sapią, warczą, kurczowo kręcą wielkimi kołami o cienkich, nerwowych szprychach, — ciągle w miejscu.

Ogromne konie, zaprzężone do haubic, prężą grzbiety i aż nozdrza różowe pokazują w wysiłku. Skrajem rowu sypie się długi różaniec piechoty.

Podjechałem dalej, znachodząc się nagle jakby w całym innym świecie — tak piękne, szerokie i zadumane są te drogi litewskie. Po obu stronach rosną stare brzozy płaczące, gęstwa ich znużonych, zda się obolałych gałęzi powiewa smugą żalobną.

Trakt się uchyla, znów wynosi. Na prawo czyjś pałac wspaniały, w którym był szpital epidemiczny. Wszyscy dziś stronić muszą od ozdoby tych murów.

Śmigły ze sztabem stoi w starym dworku, który jest piękny i zacisznie skulony i starym krzewem obrośnięty, ma spracowane filary podjazdu, jakby tyle kłopotu mieścił pod przygarbionym sklepieniem gontowego dachu!

W dywizji praca ogromna.

— Tam, w kadrze, żaden z nas nie przypuszczał, — mówi adiutant — że tak prędko wyjedziemy. Na trzy godziny przed załadowaniem nie miałem jeszcze nic w mojej kancelarii. Takiego bałaganu świat jeszcze nie widział! Konie, maszyny do pisania, broń, — przecież nasi rekruci do ostatniej chwili ćwiczyli się po cywil-

nemu laskami. Dopiero dwunastego kwietnia oblekło się ich w mundury!!

Słuchałem tego wszystkiego w szarej, drewnianej sieni dworku, przy piecu z pięknych kafli holenderskich ¹.

Przez drzwi widać gałęzie owocowych drzew. Jakiś stary „Giedymin“ ², chłopek w parciance ³, orze między rzędami pni, pług błyska wśród razowej skiby, czarny spocony koń tupie po murawie.

Wróciłem do Skrzybowiec wieczorem. Owsa wciąż jeszcze nie ma.

Ostatecznie zdecydowano oddać cały zapas, który dla swych kilkudziesięciu koni przywiozło Naczelne Dowództwo. Starczy tego na jeden raz zaledwie, ale trudno.

Późnym wieczorem ruszyły ku Belinie cienkie, skrzypiące podwoły, aż opiekle od grubych worków, które to worki widniały w mroku niby białe, wzdęte kadłuby, cierpliwie wiezione na pożarcie.

Poszedłem do wsi, skąd przybyły podwoły. Wieśniacy żyją tu w nędzy ostatecznej, o chlebie prawią z nabożną tęsknotą, z jaką się mówi o wierze upragnionej.

Przy blasku cienkiego smolaka ⁴, uwieszonego nad okapem, w cieniu szarych krosien, niby w mroku szarego losu, czekają wciąż na jakieś zmiany, aż nadto świadomi swych utrapień i nieszczęść.

¹ *kafle holenderskie* — zazwyczaj białe z niebieskimi ornamentami lub figuralnymi scenkami. Używano ich do wykładania ścian, do budowy pieców. ² „*Giedymin*“ — tu w znaczeniu: rodowity mieszkaniec Litwy; od imienia litewskiego (Giedymin był wielkim księciem w XIV w.). ³ *parcianka* — odzienie z grubego płótna. ⁴ *smolak* — łuczywo smolne służące do oświetlania chat; zazwyczaj zawieszane w żelaznej obsadzie.

POD LIDĄ

Dnia 16 kwietnia rozpoczął się gorący bój na całym froncie!

Dziś atakujemy ostatecznie Baranowicze, dziś mamy uderzyć na Nowogródek i Lidę. Dziś odczepia się od frontu zwróconego ku wschodowi grupa kawalerii pod Beliną, piechota generała Śmigłego, i suną razem szybko na północ.

Marsz ten jest ryzykiem ogromnym. Mogą być wzięci w dwa ognie, od wschodu i zachodu. Lecz jeśli się uda, zdobędą Wilno, odcinając tyły wojskom bolszewickim, które stoją na zachód od linii miasta.

O świcie popędziliśmy samochodami ze Skrzybowiec ku frontowi, obejrzyć stan mostu na rzeczce Dzitwie.

Połowa mostu dobra, dalej zerwany.

Naczelnny Wódz stoi rozkraczony na zerwanych prześłach i słucha raportu oficera, kierującego robotami.

Położenie bardzo trudne: wojska rzucone już są poza rzekę, ten most musi stanąć najpóźniej za osiem godzin, gotów pod wielkie ciężarowe wozy, a tu nie ma ludzi do roboty.

Przed nami widać wśród lasu szosę wiodącą do Lidy, zawałoną przez bolszewików barykadami ze starych sosen.

Poodał omszały dwór, schowany w suchym pęku brzoź. Z lewa piachy i jakieś powikłane bezdroże. Deszcz tnie na wskos, słyhać szemranie po liściach, a z prawej strony toczy się głucho daleki, daleki huk dział.

To Szeptycki bije na Baranowicze.

Piłsudski stoi nieruchomo na wiązaniach mostu. W szarym wojskowym płaszczu, siwiejący, o twarzy szarej, matowej, wygląda jak posąg ze spiżu. Wreszcie zaczyna mówić urywanymi zdaniem, jakby nie słyszał tego, co mu meldował przed chwilą oficer saperów.

— Już późno — mówi Naczelnny Wódz przez gęste wąsy. — Most musi być na dziś wieczór gotów. Inaczej nie zdążą tabory.

Ostatnie słowa tętnią i drżą, jakby się paliła pierś, która je wyrzuca.

Odjeżdżamy. Oficer saperów zostaje na moście, wobec porwanych przesł i dziur. Żaden z nas nie ma już teraz wątpliwości, że ten most stanie. Po tych kilku słowach Komendanta, na pewno znajdzie się jakiś sposób.

Wracamy szosą, potem jeden skręt, i znowu drugi, i jeszcze na dół, zboczem, i jakbyśmy się dostali nagle w obręb dawnych, rycerskich zjaw...

Przed chałupami dogasają ogniska, konie, zebrane w wielką, przy pyskach ujętą rozetę¹, depcą po placu. Miejscowość cała zda się dygotać, tak dźwięczą szable i ostrogi we wszystkich kątach i zaułkach. Ułani maj-

¹ *konie zebrane w rozetę* — stojące w krąg, wokół żołnierza, który je trzyma „zebrane“ za wodze.

strują jeszcze przy uprzęży, a w chromych wrotach, pod strzechą tak niziutką, że poszyciem wadzi o czapki żołnierzy, stoi na czele gromady oficerskiej Belina.

Naczelny Wódz pogania pułkownika: — Prędzej, prędzej, już godzinę temu powinniśmy byli przejść rzekę.

Niebo szare i mętne przynosi aż tu huk dział od strony Baranowicz. Tam się już biją na dobre.

Piłsudski stoi przy moście, — pułki już siadły na koń, zaraz ruszają.

Na dole, wąskim, szarym meandrem¹ srebrzy się rzeka przez rude mchy, w górze nad nami bekas się wyrócił w powietrzu i odleciał. I jeszcze nic, nic jeszcze, zbierają się tam po chałupach, podwórzach, sypnęli kurzem po pastwisku, już jadą!

Jadą ułany, co się od lat tłuką na koniach, przybyłe z rozmaitych umarłych regimentów różnych cesarzy strąconych, zbratane teraz oto w nowe polskie pułki. Ciepło bucha od tych szeregów, skóra uprzęży chrzęści niby zwoje jakiegoś drapieźnika, podkowy głuchym gradem biją o most, głowy skręcone w stronę Wodza, — dołem po rzece płynie wiosna poranka, górą po niebie toczy się jęk kanonady. Mijają plutony za plutonami, szwadrony za szwadronami, — stare kubraki huzarskie, modre portki dragońskie, czerwone bufy ułanów², siwe rajtuzy leguńskie, na szablach kaukaskie srebro³, albo pr-

¹ *meander* — kręty bieg rzeki. ² *czerwone bufy ułanów* — szerokie „buchaste“ spodnie ułanów austriackich. ³ *kaukaskie srebro* — wyroby ze srebra ozdobione ornamentami rytymi w metalu i wypełnionymi czarną emalią.

skie gardy, albo plecionka austriacka. Cześć żołnierska grubymi paluchami przykłada się do daszków czapek, — dywizjon za dywizjonem już w kłusie falujący.

Każdy oddział na kilkadziesiąt kroków przed Wo-
dzem wyrzuca wielki okrzyk:

— Niech żyje Komendant Piłsudski!

— Niech żyje Komendant! — wołają ogorzałe szóstki ułanów, aż żyły czarne prężą się im na skroniach i szy-
jach.

Mijają w okrzyku tym, niby w gromkim obłoku sro-
giej sławy wojennej. Widać ich jeszcze na piaszczystym
przegonie, a potem już zamknęły się za nimi rzędy brzoź.
Już nie słyhać łomotu kopyt, tylko się okrzyk jeszcze
śród mgieł przewraca, pomieszany z biciem dział od
strony Baranowicz.

Wypadło, że rotmistrz Kniaziółucki i ja jedziemy
z poleceniem do generała Lasockiego. Przez telefon nie
podobna się dogadać. Rekruci źle łączą, sznurek za sznu-
rek zaczepiając, — bigos, kasza, nic nie słyhać!

Rypimy samochodami przez kulawy mostek na
rzeczce Dzitwie, sosnowym zagajnikiem i wielką szosą,
nad którą już wieją białe kudły szrapnelów.

Tu dwóch szeregowców, tam znów jeden, znów ów-
dzie jakaś gromadka, oberwana, spłoszona, wymięta.

— Co jest? Skąd?

— Porucznik zabity... Nasz komendant kompanii za-
bity... Podporucznik ciężko ranny...

— Z której jesteście kompanii?

— Z siódmej.

— Z którego pułku?

— My z suwalskiego pułku. Nas rozbili.

Tych rozbitków spotyka się w każdym boju. Wodzą się wzajem za linią walczących, świadczą sobie żałośnie i odprowadzając się po dwóch, po trzech, roznoszą hio-bowe wieści.

Samochód ugrzązł w błocie, biegniemy ku wsi. Pusto zupełnie, niby w niedzielę czy w wielkie święto. Rzekłbyś, cała ludność uciekła stąd. Nie uciekła, a tylko przy-cupnęła tam i sam, wystawiając czujki¹. Oto tu pod krzyżem stoi chłopiec i kijaszek jakiś czarnymi pazurami z kory odziera. Ówdzie przed chatą majstruje przy płocie inny chłopiec. Niby zajęty okrutnie swą robotą, a tymczasem patrzy, słucha i węszy.

Tuż przed wsią spotykamy oddział osobliwy, rzekomo cywile, bo w płaszczach, melonikach², w długich spodniach miejskich, a z gwerami na ramieniu.

— Coście za jedni?

Rekruci, którzy się spóźnili, tu za pułkiem przyjechali, teraz pułku nie mogą znaleźć i wracają skąd przyszli.

We wsi cisza, kogut gdzieniegdzie zapieje.

Trzeba się dowiedzieć, czy to Cibory, czy nie? Musimy przecie znaleźć generała Lasockiego, — może w Ciborach nareszcie?!

Na wrotach znaczniejszej chałupy wieje szmata z czerwonym krzyżem.

W izbie duszno, o — o! Tu też zanosi się na cofanie. Siostra w kwefie³, ręce bezradnie złożone na podołku.

¹ *czujka* — czata, placówka. ² *melonik* — miejski kapelusz półokrągły z twardego filcu. ³ *kwef* — zasłona, welon na głowę.

Ksiądz wszystkie oznaki swego urzędu trzyma na widoku, z pewną ostentacją.

Choćby nagle wpadli „oni“, to przecież od razu zobaczą: — ksiądz i basta. A doktor nad małym puzdrem, z którego wyzierają krępe flachy jodyny, pije herbatę i słucha rannego oficera, siedzącego za stołem.

— Myśmy się dostali we flankowy ogień, panie kolego — mówi oficer, żółto-siny ze zmęczenia, — atakujemy od świtu. Zalewski podporucznik, dowódca kompanii... Osiąło go całego kulami! Kompania się rozleciała.

— Rozleciała się? A któż tam strzela przed wsią? Ogień idzie jędrny, głośny.

Wyszliśmy z chałupy, rotmistrz złości się na oficera. Ja jestem kulturalniejszy i powiadam:

— Daj spokój, jakby ci nogę przetrącili, to też byś się nie cieszył.

Tymczasem na niebie wyjaśniło się, słońce skrzy na czarnych, suchych drzewkach, glina rozoranych ugorów aż się poci od ciepła.

Rozważamy. Czyby się może sypnąć do komendanta suwalskiego pułku, majora Mackiewicza?

Mackiewicz stoi tuż przed Lidą, w Ostrowli. Machnąć się szosą przez szrapnele, z rozkazem wrywać do jakiejś kompanii i gadać z porucznikiem, wrzeszcząc z ustami przy uchu, podczas gdy kule tną gałęzie nad głową.

Oficer z opatrunkowego punktu mówił, że pułk suwalski stracił flankę. Że bolszewicy już podchodzą pod nasze baterie, są na 50 kroków...

Lecieć do tych bateryj, po drodze myśleć z uśmiechem: — lecisz, durniu, do bateryj. Szukać jakiejś ostatniej myśli, meldować coś, nie mogąc złapać tchu, i kląć, że zawsze lezie się gdzie nie trza, a obiadu naturalnie już ci nie zostawią na kwaterze!

Rozważamy jeszcze.

Jak jest rozkaz szukać Lasockiego, to szukać!

Wracamy szosą, znów lasem, i jeszcze szosą. Wielkie, białe czupryny bolszewickich pocisków strzepią się nad sosnami, a z boku przez las rznie któraś nasza bateria, splątana, zdyszana, zabłocona. Kopyta dudnią po ściółce, żelastwo dzwoni na alarm, ludzie okopceni od dymu, że aż im białka lśnią niesamowicie.

— Co jest, panie kolego? — pytamy oficera prowadzącego baterię.

— Piechotę przed nami rozbili, ledwom wyciągnął armaty, bolszewicy zachodzą z flanki, dwa dyszle mam strzaskane, zmieniamy pozycję!

Kto zna bitwę, ten wie, co znaczy, gdy już z samego początku artyleria musi zmieniać pozycję. To znaczy, że nasza piechota ustępuje, że nieprzyjaciel rozwija gwałtowny kontratak, a artyleria jego zmacała już porządnie stanowisko naszych bateryj.

Jedziemy przez most na Dzitwie, akurat koło miejsca, gdzie się o świcie bekas w powietrzu wywracał, do wsi Myto.

W Mycie pełno piechoty. To generał Śmigły maszeruje. Jego samego jeszcze nie ma, ale już są oficerowie jego sztabu.

Piechota sypie się cierpliwie, nie mają się co śpieszyć, każdy dobry piechur przecież wie, że prawdziwa bitwa zawsze na niego poczeka.

Raportujemy generałowi, co i jak, że Suwałczan przetrzepały bolszewiki od flanki, że major Mackiewicz stoi w Ostrowli, że Suwałczanie szturkają w Słobódkę (przedmieście Lidy), ale że to ciężko idzie, żeśmy po drodze spotkali baterię naszą, zegnaną z pozycji, że ta bateria z połamanymi dyszlami szła do Ciborów. Że nie ma czym strzelać.

Położenie Śmigłego jest bardzo trudne. Wprawdzie od północy atakuje już Lidę major Trojanowski batalionami 4 pułku legionowego, ale niech się atak nie uda, to Śmigły ze swą dywizją nie ma wyjścia.

Śmigły, prawdziwa pociecha żołnierskiego serca!

Słucha naszego troskliwego gadania, częstuje papierosami, pozwala równocześnie oglądać śliczną szpicrutę, którą dostał na imieniny od oficerów kowelskiej grupy, i oczyma czarnymi jak tarki wodzi po otoczeniu.

Są w muzeach takie posążki empirowych generałów¹. Duże buliony² na ramionach, kłapa płaszcza generalskiego twardo pod brodą odchylona, a twarz jak młodziutkiego chłopca, stanowcza i zawzięta.

Pytamy przy sposobności, czy nie widział gdzie generała Lasockiego.

¹ *empirowy generał* (czyt. ampirowy; z francuskiego: *empire*, tzn. cesarstwo) — generał z czasów pierwszego Cesarstwa we Francji, tzn. z czasów Napoleona I. ² *buliony* — duże, okrągłe naramienniki na mundurach generałów napoleońskich, ze zwisającymi wokół frędzlami.

Nie, nie widział, a sam pomaszeruje dalej w myśl rozkazów.

Jedziemy wolno przez ruszającą już naprzód dywizję generała, którą wszędzie łatwo poznać po ślicznych napisach na wozach, stylizowanych na wzór Jastrzębowskiego¹. Sami starzy znajomi spod Łowczówka, spod Konar, z Wołynia, Kołodziei², znad Styru, i rozmaita stara wiara polityczna, wojskowa, krajowe peowiaki³, zabijaki z korpusów wschodnich⁴, z zachodniego frontu, z wschodniego i z włoskiego⁵, kogóż, kogóż tu nie ma?

Przy którymś batalionie mają pociechę z dwoma chłopakami, którzy przypytali się do dywizji w ostatniej chwili z Warszawy. Są to roznosiciele gazet spod Loursa⁶. Oberwani, jak dziady z torbami na plecach, uganiają wśród szeregów, ciesząc cały batalion.

— Jakiego guza tu szukasz jeden z drugim?

¹ *Jastrzębowski* Wojciech — artysta-malarz, tworzący głównie w zakresie sztuki dekoracyjnej. ² *Łowczówek, Konary, Kołodzieje* — miejscowości wstawione bitwami Legionów polskich w czasie wielkiej wojny. ³ *peowiaki* — członkowie P. O. W., tj. Polskiej Organizacji Wojskowej. Tajna ta organizacja rozwinęła się w początkach wielkiej wojny, zrazu głównie na obszarze b. zaboru rosyjskiego, gdzie spełniała zadania wywiadowcze; z czasem objęła i dwa inne zabory; była czynna również i na terenie Rosji, tam, gdzie znajdowały się znaczniejsze środowiska polskie. ⁴ *korpusy wschodnie* — zorganizowane z żołnierzy Polaków, którzy pod koniec wielkiej wojny znaleźli się w granicach Rosji (żołnierze b. armii carskiej, jeńcy z armii austriackiej i niemieckiej). ⁵ *z frontu włoskiego* — żołnierze Polacy, którzy służąc w armii austriackiej, walczyli do 1918 r. na froncie włoskim. ⁶ *Lourse* (czyt. Lurs) — znana kawiarnia warszawska.

Strzepnęli łańchmanami, podciągnęli nosami, i dalej poleciali.

Z Myta ruszyliśmy z powrotem do przerwanego mostu w Podzitwie, aby się czegoś dowiedzieć o generale Lasockim we dworze.

Ileż tu zmian!

Ciche do niedawna, kroplami rosy dźwięczące ściany dworku rozbrzmiewają teraz hałaśliwym gwarem żołnierzy. Pełno ich wszędzie. W bawialni urządzili stację telefoniczną. Więc przy oknach cała pajęczyna grubych drutów, na stole aparaty, pod ścianą rynsztunek zwalony, a między nim chleby i otwarte puszki białego smalcu. Pod piecem rząd materacy starych i wyjedzonych, na których śpi jedna zmiana telefonistów.

W korytarzach dudni od grubych obcasów, jadalnia, kancelaria przemieniona na szpital, wszędzie zaś za żołnierzami, za chlebem i smalcem pętają się¹ gromadki wynędzniałych dzieci.

Każemy się połączyć ze Skrzybowcami przez sąsiednie stacje. Tutaj, przy aparacie, bitwa przeistacza się w głośnie bzykanie komarów. Brzęczek² drży i powtarza tę samą nazwę bezskutecznie.

Ogarnia mnie nagła, niespodziewana radość. Zauważyłem bowiem, że telefonista mówi miękkiem narzeczem z białoruska, ja mu nad uchem zaciągam po krakowsku,

¹ *pętać się* — kręcić się koło kogo, łązić za kim. ² *brzęczek* — w telegrafii iskrowej (używanym zazwyczaj w służbie łącznikowej oddziałów wojskowych) przyrząd, który znaki telegraficzne stacji nadawczej oddaje w stacji odbiorczej jako szereg brzęczeń, z których wysłuchuje się słowa i zdania.

nasz szofer „śpiwa“ po lwowsku, w aparacie zaś odpowiada nam czy doczepia się do naszej rozmowy jakiś Poznańczyk, akcentujący jedną i tę samą nazwę wytrwale, z niemiecka. Żołnierze wszystkich dzielnic!

Ktoś nam mówi, ale już nie pamiętam kto, że generał Lasocki z pierwszymi tyralierami¹ właśnie w tej chwili wpadł do Lidy. Tu go nie znajdziemy.

Na szosie między podwodami posuwa się wolno auto oficera sztabowego Naczelnego Wodza.

Otrzymuję zlecenie, aby zobaczyć, jak się rozwija atak od północy na Lidę, które bataliony Śmigłego przeszły już, i tym podobne.

W zamian chcę się dowiedzieć, co się dzieje pod Baranowiczami i pod Nowogródkiem.

Zdaje się, że tam idzie bardzo ciężko.

Samochód punktuje każde słowo srogim warczeniem. Zresztą nie mamy żadnego połączenia. Teraz jedyny środek łączności samochody. Wszystkie, nawet powóz Komendanta z śliczną parą siwych koni, którą jeździ po Warszawie, wszystko zmobilizowane.

Jadę przez most, traktem, którym parę godzin temu przeszła kawaleria i Śmigły.

Mijamy baterie przydzielone do Śmigłego, jakieś jaszczyki² ciągnące po bruździe na gwałt w stronę naszych ciężkich haubic, które od Zapola grzmocą w koszary ludzkie. Mijamy całe rzędy małych, ciężko wyłado-

¹ tyraliery — rozsypana linia strzelców piechoty. ² jaszczyki — wozy z amunicją.

wanych wózków z prowiantem i amunicją dla drugiej dywizji legionowej.

Samochód rżnie przez błoto. Słucham z rozkoszą wielkiej bitwy. Od południa dochodzi aż tu jęk dział grupy Szeptyckiego, słyhać wyraźnie straszliwe, równe terkoty karabinów maszynowych z Lidy. A blisko, wyraźnie już dochodzi aż tu potworna czkawka naszych haubic, strzelających na skrajach lasu przed Zapolem.

Po drodze coraz częściej pojawiają się ranni. Krew przesiąka przez białe bandaże.

— Z którego pułku?

— Z czwartego legionowego.

— No i co? do cholery...

Śmieją się spiekłymi wargami:

— Wzięliby my tego pancernika¹, ale że nas za mało!

Opowiadają o dwóch pociągach pancernych, które se jeżdżą po torze przed Lidą, tam i nazad, i dostąpić do siebie nie dają.

— Myśmy myśleli z początku, że tam Żydy siedzą. Jakieśiś czarne, w długich kabatach, a to matrosy² złodzieje.

Jadę dalej, koła już ledwie miętola błoto.

Teraz, oprócz ciężkich, słyhać zażarte ujadanie polówek³.

Nagle rozległ się huk olbrzymi, huk, od którego chyba cały front mógłby zamrzeć... Później dowiedziałem się, że to właśnie kapitan Domański ze swoją baterią

¹ *pancernik* — tu o pociągu pancernym. ² *matrosy* (ros.) — marynarze. ³ *polówka* — działo polowe.

wyrzwał w wagon piroksyliny¹ i zniszczył pociąg pancerny.

Wybuch ten słyszano daleko. Maszerujący na północ ułani i dywizja generała Śmigłego nie wiedziała, co się stało.

Mój samochód ostatecznie zarył w błoto.

Zsiedliśmy razem z pomocnikiem. Szofer puszcza parę, my, po kolana w błocie, pchamy wóz, — ani drgnie. Koła się w glinie wiercą, jak przy zepsutej zabawce, ze szprych zacierczką gęstą gruda pryska na boki — ani weź!

Niebo całe kołysze się od bitwy, a ty tu paraj się z tym omnibusem. U jednego wylotu drogi, u drugiego: nic, sosny wieją gałęziami — i nic...

To ci są drogi, to jest kraj! Mickiewicz ze swoją wysławianą Litwą!

Nadciąga jakaś artyleria.

— Panie poruczniku, panie kolego, — zaczynam wołać — może by tak pańscy ludzie!... Auto Naczelnego Wodza... Telefony nie funkcjonują, żadnej łączności!

Cała obsługa, kilkunastu artylerzystów jak dęby, stanęła w błocie po kolana. My oficery razem z nimi. Zaparliśmy się, dech wzięli, jęknęli...

Auto wybrnęło z błota.

Ale ledwie bateria przeszła, gdy oto automobil znów zapada cicho i wsiąka aż po stopnie.

Teraz we trzech budujemy jakieś zmyślne rusztowanie. Niebo huczy od bitwy, karabiny maszynowe prują i prują, a ty tu, człowieku, patyczki pod tego Mo-

¹ piroksylina — materiał wybuchowy.

locha¹ podstawiasz i z błota się ratować musisz. Nareszcie znalazło się pod ręką trochę wsiowego ludu.

Chłopy chwalą Boga, ruszają ramionami, i podciągawszy portek znów razem z nami dźwigają, razem ze skóry wyłazą, — nic.

Deszcz jak ciął po ceratowych poduszkach auta, tak tnie dalej.

Nadjeżdżają kuchnie polowe, odprzegamy szkapy, ale koniki mądre, na sam widok automobilu kładą się w błoto z zupełną rezygnacją.

Nareszcie dokonały dzieła zaprzęgi 1-go pułku legionowej piechoty.

Pożegnawszy przesadnymi wiewatami na cześć pułku dzielnych kolegów, wróciłem do wsi Myto.

Wieczór zapadał.

Po wsi snuli się ranni, drogą mijaly ciche wozy, okryte zmiętymi, okrwawionymi płaszczami żołnierzy. Stąd i zowąd jęła się już pokazywać przepłoszona ludność.

Piłsudskiego spotkałem na drodze. Dowiadywał się o bataliony mające nadejść jeszcze. Był rozgorączkowany. Niebieskie jego oczy, wezbrane całodziennym bojem, rzucały siwy, ostry blask, na policzkach płonęły rumieńce.

Dowiedziałem się od adiutantów, że już trzy razy piechota nasza była w mieście i za każdym razem musiała się być wycofywać. Mamy duże straty.

Suwalski pułk mocno poszarpany, czwarty legionowy nie mniej. Sporo oficerów wybitych.

¹ *Moloch* — bóstwo u starożytnych Fenicjan, któremu składano ofiary z ludzi; stąd przenośnie: moc nieubłagana, pożerająca prace i wysiłki człowieka.

Sypiemy szosą do suwalskiego pułku, do Ostrowli. Niebo już zachodzi czerwienią, bój, rzekłbyś, już dogasa.

Strzelanina piechoty przenosi się z miejsca na miejsce, prawie bezskładna. Artyleria pracuje jeszcze, ale już z trudem widocznym. Trzyma niby pod ogniem jakieś punkty, zamyka rzekomo jakieś drogi, ale to już raczej dla honoru, niż z praktycznym sensem.

Ognista pierś boju wyczerpana jest i ledwie tchnie. Od linii tyralierów coraz prowadzą jakiegoś rannego. Wraca z boju biedny i pomięty strzępek ludzki, chroma i kuleje.

— Nam porucznika zabili, — powiada — my nie znamy „curuk“¹. Poszliśmy do kontrataku po ciało naszego porucznika. Taki był wesoły... Mnie palec odstrzeliło, ale biegłem. Dopiero już jak w rękę...

Meldujemy się nareszcie w grupie zaniemeńskiej.

Generałowi Lasockiemu żyły na twarzy pociemniały. Spośród ich siatki cieniutkiej świecą oczy zmęczone.

Przy chałupie gromadka oficerów.

Po szosie tłuką jeszcze Rosjanie szrapnelami, od strony Lidy trzeszczą wystrzały piechoty, zajeżdża Naczelny Wódz, generał leci naprzeciw, my stoimy w oddaleniu.

Piłsudski komunikuje generałowi, że rzuca na ten odcinek ostatnie bataliony rezerwy, pod doskonałym oficerem, majorem Biernackim.

Ostatnie rezerwy... Ostatnia energia i wysiłek... Jeśli te rezerwy „swego nie zrobią“?... Jeśli pęknie nasza linia pod Lidą, co robi Szeptycki, jak będzie wyglą-

¹ „curuk“ — z niem. *zurück*: cofanie się, ustępowanie.

dał Śmigły, który już przeszedł rzekę z wszystkimi taboramami?

Nie podobna nie przeżyć bodaj w myślach możliwości niepowodzenia. A jeśli... Jakże się wówczas cofać? Tą jedną zatkaną doszczętnie linią kolejową?

Piłsudski jakby sobie zupełnie z tego nie zdawał sprawy. Stoi z majorem Mackiewiczem i wysłuchuje raportu młodego podchorążego, który właśnie wrócił z linii.

Młody oficerek wyklada jasno, prosto, pot mu się perli na skroniach, policzki aż cynobrowe od bitwy; od-dycha równo, mocno, że rzemień od karabinka, przez piersi przeciągnięty, chrzęści wyraźnie.

— Trzeba też spowodować ogień artylerii — mówi Komendant.

Nie ma amunicji.

Mam się połączyć ze Skrzybowcami, — niech wyślą sześćdziesiąt ładunków, ostatnich, które są gotowe. Albo 60 brandli¹, 60 woreczków z prochem.

Nadjeżdża major Biernacki, dowódca 5-go pułku piechoty Legionów. To on właśnie z dwoma batalionami piechoty legionowej ma w nocy, najpóźniej nad ranem, uderzyć na Lidę od południowego wschodu.

Radzą z generałem Lasockim.

Twarz młodego majora, w miarę jak dowiaduje się o powierzonym sobie zadaniu, ściąga się i ostrzy coraz wyraźniej. Nos mu się nagle wykończył w szpic, wąskie czerwone wargi rozchylają się kształtem cieniutkich płatków, a bystre, gładkie spojrzenie niebieskich oczu staje się zimne i przeźrocyste.

¹ *brandle* — zapalniki pocisku.

Pewno, pewno, nie takie obejścia, nie takie szturmy przeprowadzał ten srogi oficer o łagodnej postaci chłopaczka. Ale i teraz, chociaż to już w porównaniu z dawnym nic wielkiego, gdy powierzają mu zadanie stanowczego ciosu, od razu pochmurnieje jasna twarz oficera.

— Tak jest, Komendancie, — tnie szybko suchy tenor majora — bataliony już będą chyba na szosie.

Zaczęli się umawiać co do szczegółów.

Tymczasem Piłsudski pożegnał sztab generała i szedł krwawiącą już w zachodzie szosą prosto na strzał, do linii ognia, ku słabnącym z trudu żołnierzom suwalskiego pułku.

NA TLE MURÓW

Nasza artyleria bije z przedmieść do nieprzyjaciela, szwadrony gonią go, piechota od rana rozpiera się w domach, wozy huczą gromko. Jesteśmy w Lidzie!

Małe, jednopiętrowe miasto, poprzerywane parkanami. Na ulicach, w zaułkach, leżą jeszcze trupy naszych i nieprzyjacielskich żołnierzy. Dzień jest szary, wietrzny, czasem lśni białym promień słońca, to znów znika.

Ulicami maszeruje piechota, rekruty tłuką stopami o bruk, aż strach bierze, jakie twarde wojaki!

Orkiestra któregoś pułku wyczynia coś dziwnego na pordezwiątych trąbach, w których osobliwie starczo drży młody dech trębaczy. Jadą też nasze artylerie i tabory. Całe nasze bogactwo wojenne wznieca marsowy¹ hałas wśród koślawych uliczek.

Ludność czepia się oddziałów, wozów, koni, nieśmiało, lękliwie, niemal nabożnie.

Nikt jeszcze nie widział takiej ludności... Gada ona śpiewnym narzeczem, polskimi słowami jak może inkrustuje² ciągliwą, kresową swą mowę. A wygląda jakby

¹ *marsowy hałas* — wojenny (od imienia rzymskiego boga wojny, Marsa). ² *inkrustować* — zdobić jakiś materiał (np. drzewo, metal) przez wykładanie go (nabijanie) ornamentami odmiennej barwy, gatunku, lub sporządzonymi z innego materiału.

wykrojona z pergaminu. Takie to pomarszczone, zleżałe, cienkie.

Pod kościołem, którego białe ściany wstrząsa ochrypły głos zaziębionych organów, gromady przeróżnych matadorów¹ miejscowych obstępują oficerstwo. Wielkie świadczenie honorów, dworskie szurganie dziurawych podszew po bruku, polonezowy wyrzut łokcia w szanownym rozmachu, i że — gdybyście panowie tu nie przyszli, toby się już wnet zrobił koniec świata. A tymczasem przyszło swoje wojsko, Polskie Wojsko, na święta Wielkiej Nocy...

Tak rzecze łyk², ten, ów i tamten, i znów nie wie, co jeszcze ma powiedzieć w niesłychanej radości, oddech i głos przerywającej.

Nagle rumor się robi między łatanymi kapotami, spośród których przeciska się prosto ku nam, na wysokich, pogiętych butach, stara brązowa katana, nakryta maciejówką wspartą o wielkie białe uszy.

— Ja jestem, proszę panów oficerów, — mówi starowina, uchyliwszy czapki, — ostatni powstaniec sześćdziesiątego trzeciego roku, pułkownik...

Dajemy baczność panu pułkownikowi, który koniecznie stara się wyprostować i jeszcze bardziej się chwieje na zgiętych w organki portyczkach.

— Tak jest, ja stary powstaniec sześćdziesiątego trzeciego roku doczekałem się tej chwili — niesie drżący, kazalny³ głos.

¹ *matador* — ważna, znacząca osobistość. ² *łyk* — małomiasteczkowy obywatel. ³ *kazalny* — kazalnicy, właściwy kaznodziejom.

Wyblakłe spojrzenie pełga po naszych twarzach, w bezgranicznie szczęśliwym zdumieniu dotyka naszych mundurów.

Zapewniamy pana pułkownika, że jako emeryt Wojsk Polskich — bo to wszystko, panie pułkowniku, jest jedno i to samo zawsze Wojsko Polskie, — ma prawo noszenia naszego munduru.

Przerywa tę rozmowę sztab generała Lasockiego, lokujący się naprzeciw kościoła w Grand Hotelu, gdzie jeszcze wczoraj stał sztab bolszewicki.

Czuć tu jeszcze nieprzyjaciela: Inny zapach chleba, kawy, inna woń papieru. W niedopakowanych skrzyniach mnóstwo rozkazów, dyspozycyj i wszelakiej pisaniny wojskowej.

Sztab generała Lasockiego nie czeka. W obłokach kurzu, w szeleście mioteł syczących na korytarzach, zaczyna się już nowe urzędowanie.

Tu dowiadujemy się, że 7-my pułk ułanów uderzył na cofających się bolszewików z Lidy od tyłu i rozbił ich pod Lipniskami.

Gdyśmy zeszli na dół, stała już między kościołem a hotelem długa kolumna jeńców bolszewickich. Na czele kolumny kilku oficerów, doktorów, między nimi jedna kobieta, sanitariuszka.

Ubrana była w rosyjski szynel, pod szyję zapięty, na nogach płytkie pantofle. Jej piękną, jasną twarz zdawał się mącić niepokój.

Podszedłszy, spytałem o powód tego niepokoju.

— Czy to prawda, że nas wszystkich mają rozstrzelać?

Zapewniłem ją, że to absolutnie jest nieprawdą. Polacy zawsze uważali żołnierzy wziętych w boju z bronią w rękę za jeńców wojennych jedynie.

Pani tej, jej towarzyszą i pierwszym czwórkom jeńców oddaliśmy wszystkie papierosy, jakieśmy mieli, ku niemałemu zgorszeniu ludności, stojącej za kordonem wart.

Te warty raz wraz odsuwają kolumnę, tłum się ugina co chwila, bo oto wjeżdża w bramę kościelnego podwórza nowy wóz, pełen naszych poległych żołnierzy. Wygląda on z daleka jak wóz kopiasty, słany wysoko zeschniętą, szarą, prawie niebieską koniczyną.

Dopiero z bliska widać szare mundury, skurczone ręce i blade twarze żołnierzy, reszteczką światła martwych już oczu zapatrzone w niebo.

Trupy układa się rzędem na murawie kościelnej. Jest ich sporo, wóz, który teraz przyjechał, nie jest pierwszym, ani też nie jest jeszcze ostatnim. Przy samym murze stoją mary z żołnierzem, nad którym znęcali się bolszewicy. Ktoś usunął płachtę z rozbitej głowy i z rozerzniętych piersi, z których nieprzyjaciele wyrwali serce. Straszliwy widok.

Kobiety, dziewczęta, mieszcзки, wciąż wiankiem stoją dokoła i wciąż płaczą nad tym polskim żołnierzem.

Z kościoła wyszliśmy na miasto.

Na każdym kroku uderza niezmierna ilość afiszów i plakatów, jakby zjechał niedawno do Lidy ogromny cyrk. Korony monarsze po tle tych afiszy lecą, niczym zwiędłe liście, chłop w czerwonej rubaszce¹ na każdej

¹ rubaszka (ros.) — koszula.

rycinie ścina stugłowe hydry ¹, a wyzwolone rzesze rozmaitych niewolników pełzają po nich na podobieństwo robactwa.

Wstąpiłem na jednej z ulic do biura propagandy bolszewickiej. Po prostu przypuścić trudno, że w tak małej mieścinie można było zgromadzić tyle „wybuchowego“ papieru. W dawnej szkole (czy też był to gmach Rady Powiatowej) piętrzyły się całe złomy, całe czworogranne skały prasowanych numerów „Młota“, białe, czerwone, zielone słupy z poukładanych odezów. Dalej przekłady Dickensa ², klasyków, pstre grzędy rozmaitych historyj sztuk, kultur, prześliczne wydawnictwa najmłodszych malarzy rosyjskich.

Obok, za oknami tego składu, cuchnie gnojówka. Podłoga schlapana atramentem. Na ścianach zgniłe plamy wilgoci.

Doznaje się potwornego wrażenia patrząc na te olbrzymie zapasy drukowanego papieru, zgromadzone tu dla ludzi nie umiejących czytać. Jakby ktoś wielce przewrotny rozpoczął złośliwą zabawę, obliczoną na to, że ludzie zamiast chleba zaczną jeść papier.

Wracając stamtąd ku kościołowi, przechodziłem około prawosławnej plebanii. Na werandzie przy drzwiach stał sędziwy pop, żółty, jak bywają bizantyjscy święci, w długiej fioletowej szacie i futrzanym kołpaku.

¹ *hydra* — w mitologii greckiej potwór wielogłowy. ² *Dickens* Karol (1812—1870) — znakomity pisarz angielski; powieści jego, bardzo poczytne, rozszerzano w Rosji bolszewickiej głównie ze względu na stanowisko, jakie zajmuje wobec nierówności społecznych.

— Czy pan rozumie po polsku? — spytałem podszedłszy ku niemu.

— Jestem Polakiem — odpowiedział, skubiąc ciemny skraj swej sukni.

Ogarnęło mnie zdumienie.

— Jak to, Polakiem?

Nasze spojrzenia spotkały się. Spłowiałe, prawie już srebrne źrenice popa jęły nabiegać drżącym tonem płochliwego ciepła, w końcu zaś cała twarz zwiędnięta i żółta okryła się bladym rumieńcem, jaki dogorywa późną jesienią na liściach dawno z drzewa opadłych.

— Dziś w nocy mało mnie nie zabili wasi żołnierze. Skoczył, sztyk¹ do piersi przystawił... „Ty chowasz bolszewików!“ — krzyczy. — Nie chowam, dziecko! Mieszka tu od tyłu, tyłu lat.

— No tak, skądże nasz żołnierz miał wiedzieć?!

— A jednak zawierzył mi. Sama krew powiedziała. Zresztą rodziny już nie mam, nikogo. Ot, stoję na tym progu, chciałbym jeszcze zobaczyć Piłsudskiego. Mówią, wielki człowiek i wielki wojownik.

Objaśniłem starca, że o ile przyjedzie kryty samochód-karetka, to tą karetką jeździ Komendant. Napatrzy się to miasto dzisiaj!

— Lida to stare, stare miasto, — przytwierdził pop — ono już tyle widziało. Czy był pan na górze, na zamku?

— A co to znaczy Lida? Na jakąż pamiątkę miasto to tak się właśnie nazywa?

¹ sztyk (ros.) — bagnet.

Odpowiedział, że to litewska nazwa i że Lida po litewsku znaczy wyrąb w boru sosnowym.

Wyrąb w boru sosnowym! Ach tak, tu gdzie teraz walczymy, gdzie śpiewającą falangą¹ idą nasze bataliony, gdzie dudni nasza armata, huczy wóz i pędzi koń, — stał kiedyś bór. A potem ludzie wyrąb cięli, a potem tu się powoli budowali.

Opadła mnie nagle, kochana cisza zmienności długich dróg i trudów i cierpień ludzkich. Jakoby sfrunęła tu ku nam nagle wielka niepowrotność rzeczy przeszłych.

Ale oto spod kościoła machał już na mnie kolega, że jest jedzenie!

Jedliśmy z generałem śniadanie u zacnej, wielce wymownej mieszczki dobroczynnej, która dnia tego na wyścigi świadczyła żywym i umarłym. W sklepie bowiem do połowy lady szedł handel wielkanocny, na drugiej zaś połowie urządzony był ołtarzyk, przed którym leżał, przygarnięty z ulicy trup naszego żołnierza, obłóczony starannie w czyściutkie, białe całuny.

Twarzą cierpko uśmiechniętą patrzył w drzwi, otwarte do alkierza, gdzie drżącymi z głodu rękami krajaliśmy czarny chleb, kruszyli ser i podstawiając spore kromki razowca cierpliwie cedzili wonny, złoty miód.

Wtem zagrział wielki głos trąb, roznoszący po mieście hasło, że zaczyna się uroczystość u Suwałczan.

Suwalski pułk w wąskiej ulicy przy rynku, pod cięż-

¹ *falanga* — u starożytnych Greków pewien szyk bojowy ciężkiej piechoty; tu ogólnie: kolumna wojska w pochodzie.

kim biegiem chmurnego nieba, w dźwięku surowych fanfar czekał na przybycie Naczelnego Wodza.

Kompanie poszczerbione, w szeregach dziury wyrwane, oficerów o połowę mniej niż wczoraj przed bitwą...

Orkiestra gra hymn, front się wypręży, czarne łapska równo spoczęły na gwerach, twarze w bok odrzucone, a oczy żołnierzy, oczy, w których zebrana jest wszystka zasługa walki i cała wierność, odprowadzają Naczelnika.

Major Mackiewicz, ściągnięty, szerniały od trudów i strat bolesnych, raportuje głośno Wodzowi.

W liczbie oficerów, podoficerów i żołnierzy wymienionej dobitnie, brzmiącej wyraźnie poprzez akordy trąb, zawarty jest wysiłek całego wczorajszego boju. W liczbie, tak bardzo zmniejszonej z wczoraj na dziś, wypowiada się prosta chluba walki.

W tej liczbie krwawi serce całego pułku.

Wiatr dmie, chmury się przeganiają z głosami hymnu, wzrok Wodza chłonie wszystkie spojrzenia żołnierzy. A miejsce to przygodne i sławne, a szeregi skrważone i nieuległe, a twarze ostrą linią na tle murów wysunięte, wszystko to widzi się z daleka jakoby ryte w medalu, który wybity został na cześć ofiarnej krwi, dzielności i zwycięstwa.

KU WILNU

Idziemy z Lidy ku Wilnu. Mamy popasać w Biniakoniach¹, czy Żyrmunach, jakiś złośliwy Koroniarz² żartuje, że w ogóle nie wypada walczyć w tych stronach. Nie mogą się przecież przyzwoite bitwy odbywać pod Biniakoniami, Żyrmunami, Krupką, czy innymi Kiszkami³.

Trakt to się zamyka, to znów otwiera w ciszy piachów. W łagodnym powiewie brzoź to się ukaże jakaś zapóźniona kompania, to znów znika.

Dziś przyszła wiadomość, że padły Baranowicze, szturmem został wzięty Nowogródek.

Wiadomości nadchodzące z Wilna nikomu nie dają spokoju! Ułani wpadli do miasta i biją się.

Coś niezwykłego wyprawia się w każdym sercu żołnierskim.

Mam uparte, może dziecinne wrażenie, jakbyśmy tym starym murom, sławnym miejscom... Jakbyśmy samemu Mickiewiczowi dziękowali teraz tak po prostu i dzielnie

¹ *Biniakonie* — wieś w pow. lidzkim, między Lidą a Wilnem.
² *Koroniarz* — mieszkaniec dawnej Korony (tj. rdzennej Polski), w odróżnieniu od Litwina. ³ od dawna wyśmiewali Koroniarze litewskie nazwy miejscowe w rodzaju: Krakiszki, Plikiszki, Rakiszki itp.

za cały romantyzm. Za wszystkie strofki, za wdzięk wszystkich słów, które na wieki kołyszą czarem te miejsca, móc odpowiedzieć zwycięstwem!

Już pojechała podpierać kawalerię w Wilnie piechota Śmigłego. Pojechała rosyjskim wojskowym pociągiem, który ze stacji wileńskiej odesłał major Brzozowski. Parę godzin temu siedzieli w tych wagonach bolszewicy, którzy szli z odsieczą pod Lidę.

Ułani wloką armaty po ulicach i strzelają z nich na sto kroków. Obrona bardzo zażarta. Ludność polska przystała do wojska. Przez Ostrą Bramę¹ wpadł na czele konnych szwoleżerów major Dreszer, major Zaruski z bagnetem w rękę sunie ulicą Dominikańską.

Bitwa na fali burzliwej wynosi drogie, bolesne nazwy miejsc, gmachów, o których czytało się na tyłu stronicach polskiego romantyzmu. Jakież ognie biją w skroń, niewysłowiona radość kwili w piersiach, że oto miejsce pokuty i żalu staje się nazwą nowej sławy.

Mamy nocować w Woronowie.

Znów przychodzi sztafeta do Naczelnego Wodza, że nie w Bastunach, nie w Woronowie, że będziemy nocowali w Biniakoniach.

Biegniemy na stację, aby tu spotkać pociąg z Naczelnikiem.

Stacyjka położona w lesie. Przy aparacie kilku telefonistów z karabinami przez plecy. Dobijają się o jakieś połączenie, klną straszliwie.

¹ *Ostra Brama* — wchodziła w skład dawnych murów warownych Wilna. Na piętrze bramy kaplica z wizerunkiem N. M. P. Ostrobramskiej.

Skądś z linii odpowiada im systematycznie jakiś Po-
znańczyk, grząc pracowicie w aparat: — Hallo! Gudy¹.
Tu Gudy! Hallo! Hallo! Gudy! Tu Gudy...

Żeby cię pokręciło z tymi Gudami!

Wieczór zapada, czerwony mrok przenika drogi, lasy,
szum gęstych sosen płynie niewstrzymanym głosem.

Zajeżdża pociąg. Z okien wychylają się nasi żołnie-
rze, przy lokomotywie karabiny maszynowe. Wszystkie
przedziały tętnią orężem. Na szerokich rosyjskich wo-
zach wypisane pośpiesznie kredą:

Pierwszy pociąg polski z Warszawy do Wilna!

Piłsudski stoi w drzwiach wagonu. Twarz jego objęta
jest zorzą walki, policzki płoną gęstym rumieńcem, na-
tężone źrenice straciły kolor łagodny, biją rześistym
światłem.

Postój. Na coś się jeszcze czeka.

Naczelný Wódz wyskoczył z wagonu i wraz wysypuje
się za nim z pociągu pluton młodych żołnierzy-skautów.
To jest właśnie osłona Dowódcy.

Nic piękniejszego, jak w ciemnych, aż brązowych skło-
nach zachodu ów wielki lew, za którym, niby gromadka
bujnych szczeniąt, bieży i zagania sprawny pluton
skautów.

Komendant rozmawia z nami szybko, gorąco, słowa
zdają się rozsadać jego wezbraną pierś.

Ach, tak, naturalnie. Bo istotnie, jakby się teraz wy-
równały drogi dawno założonych przeznaczeń... Właśnie
tam, gdzie Janusz Głuchowski rozbił bolszewików, w Lip-

¹ *Gudy* — małe osiedle między Lidą a Wilnem.

niskach, była pierwsza polska drukarnia tajna. A przecież wtedy drukarnia była tym, czym dzisiaj, tu na froncie, bateria haubic. Niedaleko stąd, w Bastunach, złożony był transport odezw, które miano rozkleić — gdy tylko przyjdzie wieść o zgonie cara Aleksandra, — na wszystkich rogach nieszczęsnej Polski i Litwy, aby nieprzyjaciel drżał, myśląc, że tych drukarni jest wiele, w wielu miejscach.

Ach, tak, naturalnie, wyjść temu wiele lat prostym żołnierzem, a wracać wodzem... Wgnanym być kiedyś z Ojczyzny, a dziś Ojczyznę mieczem z najgorszej niewoli ratować... Przebiegać drogi, na których kryć się trzeba było i cofać... A dziś tymi samymi drogami iść i zwyciężać i wroga gnać...

Dalej! Naprzód! Naprzód!

Wskoczyliśmy do wozów. Za Wodzem ławą skauci — i ruszyliśmy, schowani w ciemnym wnętrzu żelaznych flanków pociągu, przez rude lasy, zapomniane wody, ustale drogi, tak przejęci spełnieniem przeznaczeń bohaterskich, jak chyba przejęci byli sprawą walki Grecy w ognistych flankach trojańskiego konia¹.

W Biniakoniach stanęliśmy późnym wieczorem. Mała stacyjka zawalona była wszelakim przyborem wojsko-

¹ *trojański koń* — Wedle podania, Grecy, nie mogąc zdobyć obleganej przez lat dziesięć Troi, w końcu wtargnęli do niej podstępem: rzekomo odpłynęli do ojczyzny, a na wybrzeżu pozostawili tylko olbrzymiego, z drzewa zbudowanego konia. Trojanie w tryumfie wciągnęli go do grodu. Ale we wnętrzu konia ukryci byli najdzielniejsi wojownicy greccy. Ci, wyszedłszy w nocy, podpaliли miasto i otwarli jego bramy powracającym towarzyszom.

wym. W izbie naczelnika stacji pełno łączników, którzy drzemali, siedząc w kucki na podłodze.

Piłsudski przyjmował raporty przez telefon. Z instrukcyj Wodza wynikało, że wszystkie rozporządzalne siły, że ostatnie rezerwy rzuca na Wilno, że sam pozostaje już właściwie bez żadnej osłony.

Jakby kierowała nim jakaś tajemna ufność do rodzinnych stron, które nie zawiodą swego wojownika...

Myślałem, że teraz nareszcie przyjdzie czas na jedzenie. Wlekliśmy przecież ze sobą w skrzynce od amunicji detaszowany¹ oddział kielbas, wędlin, trochę wina.

Niestety! Ledwo to się ukazało na dworcu, gdy natchmiast znikło! Tylko starzy i znakomici żołnierze mogą mieć taki węż: skrzyneczka nie zdążyła stanąć na ziemi, gdy, mimo głębokich ciemności, znalazło się od razu koło niej kilkunastu wypróbowanych wojaków, a wszyscy starym bojowym zwyczajem: trzy noce nie spali i cztery doby nie jedli.

Jeszcze noc była, gdy ruch kolejowy znów się ocknął. Przybyły szerokie lory² rosyjskie, na które zaczęto ładować od razu naszą artylerię, przyjechał też salonowy, zdobywczy pociąg rosyjski po Naczelnego Wodza. Pociąg ten zabrany został przez naszą konnicę w Wilnie, z całym dość wytwornym urządzeniem.

Rano nie było nic do roboty, więc włóczył się człowiek tam i sam między pustymi polami, po ścieżkach i drogach tego cichego kraju, na który nie podobna pa-

¹ *detaszować* — odłączyć coś od całości, odkomenderować oddział od danej grupy wojska; tu żartobliwie. ² *lora* — wagon towarowy, nie kryty; platforma do przewożenia drzewa, węgla itp.

trzeć własnymi oczyma, który zawsze oglądać się będzie w chwale i rytmie Wieszczą.

Na lewo od drogi widać pałac Putkamerów. Któż czytając o Maryli¹ w młodości, nie życzył zagłady godnemu Putkamerowi?! Na prawo od drogi, przy kościele parafialnym, w otoczeniu starych domostw i pól ubogich i krzewów, teraz właśnie pierwsze rzucających pąki, widnieje grobowy kamień Maryli.

Mocny Boże! Hamlet² już nad wiecznością tej pułapki ziemskiego życia rozpaczał, a chociaż drogą tych spraw szli najwięksi, jeszcze raz i ty, przechodniu zwykły, zdjęty tu jesteś żalem: żalem i płoną troską, gdy czytasz, iż to, czym żyło serce ogromne, leży oto w skromnej ozdobie polnych traw, w cieniu zgarbionych bzów, pod grobowym kamieniem na wieki bezradnie złożone... I że się to niezmiennie mieści, ni to w kłamrze, między dniem urodzenia i odejścia:

MARIA Z WERESZCZAKÓW Hr. PUTKAMEROWA,
URODZONA 24 GRUDNIA,
ZMARŁA 1863 ROKU 28 GRUDNIA.

¹ *Maryla* — Maria Wereszczakówna. Miłość ku niej stała się dla młodego Adama Mickiewicza źródłem natchnień w wileńskiej epoce jego twórczości. W 1821 r. wyszła za mąż za zacnego i zasłużonego obywatela z Wileńszczyzny, Wawrzyńca Putkamera. Swój zawód serdeczny wyraził poeta w „Dziadach wileńskich“ z taką siłą uczucia, że tkliwi czytelnicy mogli istotnie bardzo surowo a niesłusznie osądzać jego szczęśliwego rywala. ² *Hamlet* — bohater tragedii Szekspira pod tymże tytułem; jego rozważania nad znikomością życia mieszczą się zwłaszcza w sławnej scenie „na cmentarzu“.

Cóż więcej?...

Jakieś doniosłości niezwyklej zdają się nabierać chwile poranka, a głos harmonijki, na której daleko pod lasem grają nasi żołnierze, słyszysz nagle, w przeciągu mgieł ostatnich, jakby tkliwy, uroczy oddech samej Polski, która nowe dźwięki rzuca teraz na drogi dawnych miłosnych zawodów.

Po południu, w drugie święto Wielkiej Nocy, jedziemy do Wilna. Mijamy transport rannych i jakieś plutony cywilów, którzy przy torze wartę sprawują. Widać już z daleka wyniosłe czoło Polskich Aten¹, widać coraz wyraźniej żłobiny ulic i wyniosłości pałaców.

Teraz przedmieścia.

Wszyscy oficerowie przy oknach.

Piłsudski w płaszczu, w czapce i rękawiczkach, jakby w tej chwili zeskoczyć miał z wagonu.

Dziesięć pycha ogarnia żołnierzy: tę wielką stację (bo już echa naszego pociągu łomocą wśród zabudowań), szyny, sapiące lokomotywy, wszystkie bloki² i zwrotnice i tyle kościołów i tyle domów — to wszystko wziął ich oręż. Wjeżdżamy na dworzec, orkiestra gra „Jeszcze Polska nie zginęła“. Czarno od ludzi, wstrzymanych szarą, prostą sztabą kompanii honorowej. Na skrzydle panowie oficerowie z generałem Śmigłym na czele.

¹ *Polskie Ateny* — Wilno, ze względu na znaczenie, jakie miało dla polskiej kultury duchowej w dwu pierwszych dziesiątkach lat XIX w. Jego uniwersytet był wówczas w pełnym rozwoju; przejęta ideałami młodzież tworzyła związki Filomatów i Filaretów; Mickiewicz otwierał świetną epokę polskiego romantyzmu. ² *bloki* — tu: urządzenia do sygnalizacji kolejowej, w pobliżu stacji.

Oficery przysięgłe, wypróbowane w tysiącu ogniu, w tysiącu wojennych przebojów. Stoją jak mur, tylko to bractwo szczęki silnie zwiera, żeby nie dać poznać po sobie wzruszenia, nie dać poznać tej szalonej radości, jaka rozsadza piersi.

Oto ci, najlepsi uczniowie, którzy przyjęli z Litwy wielkiego mistrza walki i terminowali u niego w Polsce przez długi czas bezsławnych lat, lat krwawych, powracają mu miasto jego młodości, zdobyte młodym orężem.

Ponad tłumem unoszą się w górę ręce powitania, a gdy Naczelny Wódz wysiadł z wozu, jakby całej tej rzeszy ogromnej dech w piersiach zapało... Na sekundę, na jeden błysk, rozpięła się zdumiona cisza, a wzniesione dłonie zakrzepły bezruchem niewiary w rzeczywistość tego spotkania. Nagle tłum skruszył się, ścisnął, podebrał, i jednym rzutem otoczył Dowódcę.

Wtedy dopiero można było z bliska rozpoznać nędzę i ostateczne wyczerpanie tych ludzi. Wtedy dopiero można było widomą niedolą tych rzesz mierzyć głębię ich radosnego uniesienia. Wtedy dopiero, w najszerszym uśmiechu dumy żołnierskiej, doświadczyć można było szczytnych owoców odsieczy.

Jakiś dygnitarz miejscowy w wyszarzałym futerku zaczął ubožuchną w słowa, przejętą łzami mowę powitalną, którą raz wraz przerywały rzucane z głębi dworca kwiaty. Z rodziną Piłsudskiego cały tłum wtargnął między rzędy oficerów i żołnierzy, jakby wszysey na tym dworcu byli jedną wielką, dotąd rozłączoną, teraz odzyskaną rodziną. Ludzie nie wiedzieli, jak mają witać i jak mają podejmować wojsko. Więc obstępując gromadą, głaskali

szare mundury po ramionach, rękawach, ruchem pełnym nieopowiedzianej dobroci i troski.

Za Naczelnikiem, wśród tumultu okrzyków — bo tłum ten cieszył się radośnie i śpiewnie, jak dzieci się cieszą, — wszystko ruszyło ku miastu. Eskortowały Wodza zwycięskie pułki jazdy, szwoleżerów, ułanów, i liczna świta.

Gdy o zmroku — zapadał właśnie — w klasku kopyt, w płaczu i krzykach tłumu, w chrzęście oręża, zamajaczyła sroga postać Dowódcy pod Ostrobramskim łukiem¹, zdać się mogło, iż ożywa jakaś druga strona starych ryngrafów², na których, pod świętą opieką, do oblężonego grodu wjeżdża wódz polski z orszakiem męznego rycerstwa.

Wilno przyjęło nas, w ubóstwie bezgranicznym i w zniszczeniu, zaprawdę wszystkim, co jest w tym mieście wieczne: pięknnością starych murów i miłością serc. Jeszcze nie szedł żołnierz polski w takim blasku, w jakim szedł tymi ulicami, objęty błogosławieństwem mieszkańców.

Zaraz następnego dnia po zwycięstwie jęły się zbiegać delegacje cechów, stanów, powiatów i ziem okolicznych. Było coś nigdy nie zapomnianego w ruchu i w słowie tych ludzi: bo to były nie tylko słowa wdzięcznej radości... Bo mowy, które głosili ci ludzie, okrutnie doświadczeni, szczęśliwie uwolnieni, były rachunkiem sumienia, prostą, gorącą spowiedzią z walk i z wiary i z prób najcięższych.

¹ *Ostrobramski łuk* — łuk „Ostrej Bramy“ wileńskiej. ² *ryngraf* — rodzaj małego napierśnika nakładanego na zbroję: blacha w kształcie tarczy, zazwyczaj z wyobrażeniem N. M. P.

Tak mówią, tak spowiadają się ludzie w porywie serc, które przepelnia szczęście niespodziewane.

Cóż więcej o tych pierwszych dniach wojska polskiego w Wilnie? Błogosławieństwo i kwiaty: w radości, w pozdrowieniach okrzykiem buchających, w kwiatach, ni to w uroku precudownej pogody, szły polskie wojska pod katedrą, twarde oblicze stawiając przed Wodzem Naczelnym.

A gdy po uroczystym nabożeństwie przed Ostrą Bramą przemówił do szarych zastępów wojska i do rzesz tysięcznych kaznodzieja, zwycięskiego Wodza opiece boskiej zalecając, rozległ się w tłumie głos, jak kiedy wezbrany strumieniem lodowe kry biją o się i dzwonią. Tak wielki wybuchł płacz oswobodzenia i wdzięczności.

Po nabożeństwie ruszyliśmy automobilami w dół, potem zaś w boczną ulicę. Wóz Piłsudskiego zatrzymał się przed jakimś wielkim, mrocznym gmachem. Ciężką, rzadową bramą weszliśmy w szare podwórze, na którym rośnie cierpliwie stare drzewo samotne.

— Pierwaja Wileńskaja Gimnazja¹ — oznajmił nam Komendant.

Pobiegł szybko na górę, jak ktoś, kto doskonale zna cały rozkład budynku, my za nim, trzeszcząc po korytarzu szablami.

— Tu była kancelaria dyrektora. — Piłsudski przystanął. — Rzadko się tu przychodziło. Zawsze tylko w bardzo ważnych sprawach. Pierwszy raz byłem u dy-

¹ *Pierwaja Wileńskaja Gimnazja* (ros.) — Pierwsze gimnazjum wileńskie. J. Piłsudski był uczniem tego rosyjskiego gimnazjum.

rektora za zorganizowanie tajnego stowarzyszenia. Bo trzeba panom wiedzieć...

Komendant wziął któregoś z oficerów za guzik od płaszcza. Stoimy przy drzwiach tej kancelarii dyrektorskiej, głos Piłsudskiego głęboki i radosny niesie się daleko po pustym korytarzu.

— Bo trzeba wam wiedzieć, że w drugiej klasie stworzyłem pierwsze tajne zgromadzenie, skierowane przeciw przeciąganiu nauki poza głos dzwonka.

Idziemy dalej, szable skrzeczą na kamieniach posadzki, idziemy śpieszną wojskową gromadą.

— A tu karcer. — Piłsudski znów przystanął, jak człowiek na zapomnianej już prawie drodze odnajdujący dawne, nigdy nie zapomniane wspomnienia. — Tu w trzeciej klasie siedziałem pierwszy raz za „polskij jazyk“¹. Gdzież ta klasa?

Otwarł nagle drzwi izby gimnazjalnej, a my razem z nim stanęliśmy u wejścia, zdumieni...

Jakby się tu spełniała dowodnie przykładna opowieść o niezłomnej drodze i czynach owocujących. Na tablicy tej klasy, w której Naczelny Wódz siedział za „polskij jazyk“, stało wypisane niewprawną ręką młodego kwartmistrza:

WOJSKO POLSKIE
5 PUŁK PIECHOTY LEGIONÓW
KOMPANIA...

¹ za *polskij jazyk* (ros.) — za polski język (mowę); na Litwie po 1863 r. mówienie w szkole po polsku było surowo zakazane.

WYPRAWA NA KIJÓW

WYPRAWA NA KIJÓW

1920

Kto czuje w sobie gorącą młodość dążeń, kto mierzy czyny na zamiary, kto historię narodu swego rozumie jako miłość wolności — niech spojrzy na wszystkie drogi, dróżki, koleje, trakty, szosy, na tę sieć rzadką, przesianą wzdłuż rysunku okrągłym maczkiem lasu, cerowaną w wielu szerokich miejscach wątlm ścięciem bagien. Przyjrzyjcie się tej wielkiej sieci znaków Wołynia, Podola, Polesia... Przez wszystkie owe bagna, drogi, lasy, wody, idą dziś w hełmach stalowych naprzód młodzi Polacy.

Gdzież tak śpieszą?

Wyprawę na Kijów 1920 r. podjął Piłsudski, aby nieść pomoc atamanowi Szymonowi Petlurze, walczącemu o wyzwolenie Ukrainy spod rządów bolszewickich; układ z atamanem zastrzegął, że Ukraina nie naruszy wschodnich granic Rzeczypospolitej. Przyświecała wyprawie szczytna idea walki „za naszą i waszą wolność“, niemniej jednak powodzenie jej zapewniłoby Rzeczypospolitej także ogromne realne korzyści. Między Polską a Rosją stanęłoby zaporą państwo ukraińskie. Zmuszone całą czujność i energię zwracać na obronę przed Rosją, w Polsce szukałoby raczej sprzymierzeńca. Na odwrót zaś Rzeczypospolita część sił swoich zwolnionych na wschodzie mogłaby obrócić gdzie indziej, zapewnić sobie silniejsze stanowisko wobec sąsiadów zachodnich.

Nikt nie mógł piękniej pomyśleć, jak tylko aby młodzi, ledwie kajdan zbywszy, ledwie oddechu w świeżą pierś zaczerpnąwszy, szli sąsiadom zdejmować pęta. Dzieje się to w porze wiosennej, w porze wiecznego podboju. Nie mogła lepiej i serdeczniej spotkać się tu historia z młodością, a sprawiedliwość z męstwem!

Tysiące, tysiące żołnierzy, śpieszących z zachodu na wschód, to są tysiące drgnień jednego szlachetnego słowa, najdźwięczniejszego we wszystkich polskich duszach: słowa wolności.

Któż ma pojęcie o trudzie, który podjęli ci żołnierze: Konie, wozy, maszyny ziemne i powietrzne, jadło i amunicja, broń, sprzęty, chleb, piekarnie, ciężkie działa, śmiech i gniew, radość, siła, przedsiębiorczość, wszystko to w ich rozmachu. Nad nimi szczęście!

ODPRAWA

Dowiedziałem się o wszystkim na odprawie. Wielki rozkaz operacyjny¹. Najważniejsze sprawy wojskowe na bibułkach cienkich, chrupkich, jak woda szeszczących.

Armie, dywizje, brygady, pułki, bataliony, baterie, szwadrony, kierunek, odgraniczone strefy działania, uplecione z całego szeregu miejscowości... W miarę rozwoju treści, słowa zamienne mnożą się, narastają do całkowitej ścisłości jakiegoś osobliwego języka algebraicznych skrótów nowoczesnej walki.

Któryś z oficerów rozwija mapę z wykreślonym biegiem zarządzanej operacji.

Patrzymy na wytyczną marszów, na strefy, dni, znaczone: $x_1, x_2, x_3...$ Wygląda to na wielkiej przestrzeni Polesia, Wołynia, Podola, jakby ktoś krętymi liniami między luźne nerwy tego kraju wrysował jakąś postać ułudną.

Czytając ochryplymi już głosami słowa wielkiego rozkazu, wnikając stopniowo w sens elips, krzywych, przerywanych sztrychów, odgadujemy znaczenie rysunku, ogarnąć poczynamy kształt tego splotu zamiarów i dążeń. Aż wreszcie poprzez zgięcia różnobarwnych nici i planów ukazują się naszym oczom oblicze domniemanego zwy-

¹ rozkaz operacyjny — tyczący operacji, tj. działań, wojennych.

cięstwa: Z szeleszczącego papieru wykwita żywa postać Victorii¹.

Jest już późno. We wszystkich kancelariach już cicho. Słychać tylko od Placu Saskiego² huk tramwaju, tonący w puszystej, ciemnej godzinie wieczoru.

Jutro wyjazd.

Oficerowie chcą się tu zaraz nauczyć tego boju, zapamiętać wszystkie cyfry, dni, daty, mosty, przeprawy, spotkania.

Ktoś przyniósł z kasyna karafkę piwa i parę szklanek, bo wszystkim gardła wyschły od gadania. Nikt nie pije. Jeden oddaje drugiemu. Oczy idą po mapie, to po słowach cienkiej bibułki rozkazów, a szkło z napitkiem nie-
tkniętym przesuwa się dokoła z ręki do ręki.

¹ *Victoria* — u Rzymian bogini zwycięstwa. ² *Plac Saski* w Warszawie; nazwany później Placem Marszałka Piłsudskiego.

SPOTKANIE Z KROWĄ

Jedziemy krajem, w którym ciągle jeszcze dogorywa wielka wojna. Pełno tu nazw przesiąkniętych krwią, pełno potajemnych chwil nieprzeliczonej śmierci, pełno jakiejś nieznannej światłości, w którą wstydzą się patrzeć oczy.

Co krok stare okopy. Jak długie, wygnite rany widnieją na ciele ziemi. Tu i tam zbiegły się w wielkie, ciężkie guzy przyczółków, przed którymi zwijają się szeregi palików kolczastego drutu. Z gliny, którą tu w pocie śmiertelnym mięsila stopa piechurów pruskich i rosyjskich, radośnie sobie teraz wystrzela bezpieczni chwast. A po srogich strzałach mörserów ¹, po fali huraganowego ognia ², zostały w wyrwach blade jeziorka, niewinnymi oczami wody patrzące w świat.

Mijamy Kowel. Jeszcze tak niedawno, dzień i noc, przez całe miesiące, skrzeczał i trzeszczał ten dworzec od butów piechoty generała Linsingena ³. Pod elektrycznym światłem ogromnych lamp kręcili się żołnierze niemieccy,

¹ *mörsery* (z niem.) — moździerze, działa, których pociski zakreślają łuk większy niż pociski armat. ² *huraganowy ogień* — niezmiernie gwałtowne ostrzeliwanie pozycji nieprzyjacielskich celem znękania przeciwnika przed przypuszczeniem natarcia. ³ *Linsingen* — generał pruski; 1916 r. dowódca armii niemieckiej na Wołyniu.

w kamiennych płaszczach podobni do szarych słupów przydrożnych. Tu dygotały ze strachu resztki rozbitych przez Brusilowa¹ korpusów kawalerii austriackiej. Tu, niby wstęgi, pruły się ostatnie szarże rosyjskiej jazdy, a zestrzelony piechur rył w piachu krwawym czołem.

Wyczerpane przejściami miasto sprawia wrażenie, iż w białych zalewach słońca śpi teraz, ledwie dyszy, wciąż jeszcze odpoczywa.

Ktoś w wagonie opowiada o odwróceniu znad Piawy². Całe życie będzie mu się śnił szum tej rzeki, wielkie mosty łamane przez włoską artylerię, konie na oberwanych zadach przysiadłe. Ktoś inny pokazuje miejsca, z których wyszła ofensywa Brusilowa.

Teraz świeżość zielona hula po drzewach, krzaki kipią srebrnym fioletem. Gdzieś z boku, wśród drzew przydrożnych, czuwa jeszcze zima, ale wszędzie indziej rodzi się młody, pośpieszny kwiat, pola oblekają się w zielen, a las aż łśni.

Pociąg przebiega stacje osypane naszym drobnym szeregowcem. W szybkim mijaniu raz po raz wymierza ametystowe dale zwarty kąkół chłopskich strzech. Z tęczego kołpaka stogów biją brylantowe miecze blasku i wysoko pod słońcem łamią się w oparze złocistym. Wszystkie młode drzewa proszą śniegiem pierwszych kwiatów.

¹ *Brusilow*, wódz armii rosyjskiej, przełamał w 1916 r. front austriacki na wschód od Kowla. ² *Piawa (Piave)* — rzeka w pñ. Włoszech; na linię jej zepchnęli Austriacy w 1917 r. front włoski, ale w walkach następnego roku ponosili tu srogie klęski.

Słyszę za sobą zdanie: „Właściwie wedle całego „ordre de bataille“¹ armia nasza...”

Naprzeciw, z zielonego pola, idzie ku pociągowi macierzyńskim krokiem duża, dorodna krowa. Na jej widok rozlewa mi się nagle w piersiach jak gdyby prawda jakaś, czysta, bielsza niż mleko. Istotna i wielce macierzyńska prawda o niezliczonej śmierci tysięcy żołnierzy, o strasznym huku dział i małym ludzkim życiu.

Krowa nie patrzy na mijający pociąg. Łagodnym, równym krokiem dąży przez wielkie pole, podczas gdy wychylony z okna ocieram prędko łzy.

¹ *ordre de bataille* (franc.) — skład bojowy wojska; wykaz wszystkich armij, dywizyj itd., ewentualnie z zaznaczeniem działań wojennych wyznaczonych każdej poszczególnej jednostce taktycznej.

W RÓWNEM

Przyjechaliśmy do Równego. Tu lepiej widać niż gdzie indziej, co się kroi... Na stacji wszystkie bronie z wszystkich znaków. W urzędzie ruchu wszystko skrzeczy, syczy i dzwoni.

Widać że ładuje się kawaleria, bo w wagonach, upstrzonych wolapikiem ¹ napisów węgierskich, austriackich, niemieckich, francuskich, polskich, ukraińskich, bolszewickich (których pięć liter ² wygląda na naukowy wzór jakiejś zarazy), nieustanny tupot koński.

Szary, wielowagonowy pociąg Naczelnego Dowództwa sprawia po prostu wrażenie szeregu ulów żelaznych. Oficerowie, referenci, włączają i wyłączają przez okna, przez drzwi, popod kołami i, zda się, przez dachy.

Widać tu niestrudzonego majora Matuszewskiego. Jak młody tur przepycha się między ciżbą, świecąc śmiesznym trójkącikiem świateł, który mu się kombinuje na końcu nosa ze szklami binokli. Widać zmiętą, subtelną twarz majora Starzewskiego z kwatermistrzostwa, który w tej szalonej wyprawie ma istotnie do przerobienia tyle niebywałych trudności.

¹ *wolapik* — język międzynarodowy, utworzony sztucznie; poprzednik esperanta. ² *pięć liter* — R. S. F. S. R., tj. Rosyjska Socjalistyczna Federacyjna Sowiecka Republika.

Telefony dzwonią, hughes skrzeczy i warczy, w oddziałach kancelarii mapy i papiery przelewają się chrzęszczącą falą z półek na ławki, z ławek na ziemię. Papiery, papiery! Ileż musi się ich przepchać co dzień przez wszystkie kancelarie!

Na szynach, pod chudymi skrzydłami pelerynki, ukazuje się generał Listowski. W parę chwil potem zajeżdża samochód, usłany aż po brzegi wężowiskiem rzemieni, puślisk¹, troków skórzanych, pasów, koców, uzd i kantarów². Nareszcie wyskakuje z tego skórzanego kłębowiska mały, niezmiernie ruchliwy kłębek ścięgien i żył, trzymający się na czarnych, olbrzymich butach amerykańskich. Kłębek wydyma się na wietrze w ciemny, gumowy balon, na którym kołysze się brązowa od słońca głowa. To generał Romer w swym historycznym płaszczu gumowym.

Obstępujemy generała. Pieni się ze złości z powodu opóźnienia transportów. Jego spękana twarz wybucha nowym mnóstwem czarnych zmarszczek, spośród których między oczyma, ustami a nosem warczą słowa ostre i zgrzytliwe jak zardzewiałe tryby.

Któryś z wyższych oficerów winszuje generałowi otrzymanego zadania.

Właściwie o zadaniu tym wie się niewiele. Tyle, że na czele grupy jazdy, złożonej „z morowych ludzi i z byczych koni“, ma się generał Romer rzucić głębokim obejściem daleko na tyły. Że cała ta kawaleria

¹ puśliska — rzemienie, na których wiszą strzemiona. ² kantary — rodzaj wędzidła.

uczepi się Koziatyna¹ i będzie go trzymała, póki nieprzyjaciel, pędzony z przodu przez piechotę, na ławę naszej kawalerii się nie natknie.

— Pan generał na czele kawalerii, to będzie sama elektryczność.

Elektryczność w generalskich piorunach² i w amerykańskich butach nie słucha już, i nadymając swój gumowy worek idzie dalej.

Jeszcze za parę chwil zjawia się autem generał Iwaszkiewicz z kapitanem sztabu Błęszyńskim, który miał wypadek z koniem; pan kapitan ma teraz podarty policzek, podobno złamaną szczękę, i fioletowe piętno siniaka pod okiem.

Organizujemy całą akcję współczujących pytań, które miłego kapitana doprowadzają do rozpacz.

No, to ich tu już jest trzech smoków: Listowski, Romer i Iwaszkiewicz, — będzie jakaś generalska odprawa.

Właściwie na miano smoka zasługuje jedynie Iwaszkiewicz. Wygląda jakby był złożony z ciężkich bloków, poruszających się wolno, stanowczymi obrotami tanka³.

Za parę minut ma przybyć pociąg z Naczelnym Wodzem. Belwederska kompania stoi już wyciągnięta pod stacją. Szef sztabu generał Stanisław Haller z oficerami na skrzydle.

Czekamy, pochyleni w stronę przybycia, z zamknię-

¹ *Koziatyn* — stacja węzłowa na skrzyżowaniu linii kolejowych z Polski na Ukrainę i z Kijowa do Odessy. ² *generalskie pioruny* — odznaki generalskie na kołnierzu i czapce (wstęgi łamane). ³ *tank* — czołg; opancerzony automobil bojowy czołgający się na potężnych taśmach stalowych, opasujących jednym zamkniętym w sobie kręgiem przednie i tylne wały osiowe wozu.

tymi prawie oczyma, bo przeciąga przez nas nieustanna chmura lotnego kurzu. Wielki ruch stacji powiększył ją, tak że chmura płynie bez końca, widna dokładnie nawet teraz w opadzie dziennego światła, prochem żółciutkim przesłaniająca ostre krople elektrycznych lamp.

Z boku błyszczących szyn stoi cały naród wychodzący. Pod bezgranicznym spokojem wiosennego błękitu, owiani pierwszymi cieniami wieczoru, ruszają się ci ludzie niby w widzeniu jakiegoś starożytnego portu.

To znów przeciągnie przez nich jeszcze mocniejszy oddech tutejszego świata; tego świata, który miałkim kurzem wiecznie się naprzód ciska, wiecznie goni i nigdy za sobą podążyć nie może. Wówczas rzesze uchodźców toną w mgłę sypkiej, wszystkie światła się mroczą, a my też z całą naszą paradą toniemy ni to w lotnym, zmaconym przeznaczeniu...

Pociąg z Naczelnym Wodzem wjeżdża na stację.

Piłsudski wysiada, idzie powoli przed frontem generałów i kompanij, od razu zabiera z sobą sztab, i siadają w salonce ¹ do odprawy. Zapomnieli zsunąć firanki i widać doskonale wszystko, co się dzieje w wagonie.

Żołnierze wychylają się z sąsiednich wozów, tak że z każdego okna wystaje cały pęk głów, niby pęk wielkich rumianych rzodkwi. Patrzą, chcą słyszeć co mówi: Komendant siedzi z ramionami rozłożonymi na oparciach kanapy, generałowie przekładają z rąk do rąk zielonkawą mapę, pożyczowaną drogami, kolejami, ścieżkami, składają ją, łamią, i znów gną, jakby łupali w palcach trzeszczący złom biało-zielonego marmuru.

¹ *salonka* — wagon kolejowy urządzone wygodnie, jak wnętrze pokoju.

NA WYDMUCHU

Dziś cały dzień jestem w Równem. Nic tu nie widzimy osobliwego, ale z przejazdu wszelakich łączników wnioskować można, że nasz pierścień bojowy jest już na ukończeniu. Jest to pierścień sięgający od Prypeci aż pod granice rumuńskie. Na całej tej olbrzymiej przestrzeni w pierwszej linii frontu dyszy gotowością skoku zdrowa i młoda pierś naszej piechoty.

Na całej tej przestrzeni, od południa i północy, z ostrzem na Malin¹ i z ostrzem na Koziatyn, zebrana w cugle, drepce niecierpliwie nasza kawaleria. Pod całą tę przestrzeń podsuwa się dniem i nocą olbrzymia fala żelazna, dniem i nocą płyną ciężkie sprzężaje artylerii. A jeszcze dalej, w tyle, za nimi, po drogach, ścieżkach, lasach skrzeczy wiezione na podwodach i na tysiącu wozów obfite jadlo, przeznaczone dla tych wojsk.

Z miasta wyjeżdżają pośpiesznie resztki dowództwa armii Listowskiego. Wszędzie otwarte drzwi, we wszystkich oknach rumiane gęby w hełmach.

Poznałem się z jakimiś kapitanami ukraińskimi. Oręduje im wesoło złotogłowy podporucznik Wierzyński. Cały dzień siedzą w kącie brzydkiej kanapy, krytej zielonym pluszem, i dumają o swej Ukrainie. Obaj po

¹ Malin — miasteczko na płn. od Koziatyna.

dobni są do diaczków ¹, i obaj jakby się usmarowali złotkiem, tak tłusto połyskują.

Ludzie tu mieszkają w Równem jak na wydmuchu. Stół, łóżko, kanapa, i potem jakieś już tylko resztki rzeczy, resztki obyczajów, resztki przyzwyczajęń. Przez owe resztki puste, na przestrzał otwarte, ze wszystkich stron we wszystkie miota się pył polotny. Jak gdyby prawda tego kraju, z istot, z rzeczy wygnana, miotała się po tej przestronnej ziemi ciemną, bezładną chmurą. Jakby pędziła szerokimi drogami, nigdzie nie mogąc osiąść, nigdzie nie mając spocząć, ani na rzeczy, ani na wodzie, ani na ziemi, ani już w żadnym sercu...

¹ *diaczek* — młody diak, tj. sługa cerkiewny, śpiewak kościelny.

KOŃCE ŚWIATA

Po drodze do stacji natrafiłem na wielki rwetes. Przyjechało nasze radio i musi się ustawić, tu właśnie, gdzie czekają tłumy uchodźców.

— Mężów zabrali, nas spalili, wygnali. Mężów zabrali, nas spalili — przytwierdzają kudłate głowy, przyświadcza głos, który opuściła wszelka nadzieja, a został jeno pusty rozmiar dźwięku.

Wygnano ich jeszcze w 1915 r., teraz wracają z Sybiru, znad Kaspijskiego Morza, z Samarkandii¹, znad Uralu, ze stepów kirgiskich, z Persji, sami nie wiedzą skąd.

Odzież ich stała się obrazem tułactwa, wypelzł z niej wszelki ornament stroju, kraju, narodu, proch nieobjętych traktów powrastał im już w skórę. Mają na sobie tułupy² sztywne, pogięte tysiąc razy we wszystkich fałdach i zleżynach, jakby nosili na sobie skrawki szosy.

Wloką za sobą rozmaite dobro sękatę, które wypycha ich wory. A wory te układają przy sobie. Układają mozołnie, zabiegając potem na daremno około tych szarych pagóreczków chudego swego losu.

¹ *Samarkandia* — okręg administracyjny w republice Uzbekistanu (stolica Samarkanda), na pld.-wschód od Jeziora Aralskiego.

² *tułup* — długi płaszcz.

Ich bosc stopy to stopy heksametru ¹ niewysłowionej niedoli. W ich mowie obcują z sobą najdalsze końce świata. Wyzbyci już nieomal barwy ludzkiej, są jak woda, jak deszcz, powietrze, przestrzeń, cień, czy też kurz, pustka, nicość dotykalna...

Są już znikąd.

¹ *heksametr* — w greckiej i łacińskiej poezji nazwa wiersza złożonego z sześciu „stóp“ (jednostek miary wierszowej). Wiersz ten stosowano głównie w poezji opisowej, stąd „stopy heksametru“ znaczy tyle co opowieść.

PROMIEŃ

Dziś rano jechaliśmy z Równego do Zwiahła.

Naczelne Dowództwo polskie cały dzień i noc pozostaje jak gdyby unurzane w elektrycznej sile. Dygot tej siły, wciąż drżącej około nas, słychać daleko. Przez całą noc warczą motory, agregatory, przez cały dzień i noc strzyka dziwacznym głosem przestrzeni nasze radio. Niby niesamowite kowadło, na którym kuje się żarzącą gwiazdą oddalenia.

Wszystko to razem składa się i rozkłada, i da się zmieścić i jeździ w dwóch samochodach.

Nurzamy się w sile elektrycznej. I w sile motorów. Ruch samochodów warczy dokoła we dnie i w nocy, jak gdyby moc powodująca stąd armiami wprawiała powietrze w ciągłe drżenie. Jedziemy do Zwiahła, pędząc po szosie pełnym regulatorem. Na prawo i lewo od skłónów drogi wydziwiają zjawy, utkane z tumanów roztrąconego kurzu.

Niedaleko od Zwiahła, na murawie przy lasku jakimś, natrafiliśmy na Naczelnika.

Opodal, z dużym nosem Wieniawy na przedzie, tkwiła pstra sałatka zdyszanych adiutantów. Na pniu, gryząc litewską kielbasę, siedział generał Henrys ¹, w czerwonej

¹ *generał Henrys* był wówczas przedstawicielem wojskowości francuskiej przy armii polskiej.

czapce zdobionej złotym laurem francuskim. Przy szosie czekający szoferzy dłubali w autach, drugą stroną ciągnęły bez końca szare garby taborów. Słońce lało się z nieba wonnym, połyskliwym zapachem wiosny na pola, na zmrużone sadyby, na tajemnicze znaki kurzu, uciekające przez drzewa rozkwitłe.

Piłsudski w swym strzeleckim, niebieskim mundurze leżał wsparty na kamieniu, zapatrzony przed siebie. Tak mi się nagle ułożyło w pracowitym chrobocie słonecznej chwili i w zrozumieniu tej wojny, przez którą teraz młodość stare krzywdy wyrównuje i nowe, lepsze czasy sposobi, jakby tu na szmaragdzie murawy nie wielki nasz Wódz spoczywał, lecz jakby na tę murawę padał niebieski promień świetlanej prawdy polskiej.

TRĄBY FORTYMBRASA ¹

Przyjechaliśmy do Zwiahła do dywizji Śmigłego, nie pamiętam dokładnie którego dnia. Wszystkie dnie i całą rachubę czasu porwała ofensywa w swe chwytły niewymierne.

Przyjechaliśmy w południe. General czekał na czele swych oficerów przed białym jednopiętrowym dworem, między rzędami kwitnących czereśni.

Z ogromnej chmury pyłu wyskoczył Komendant.

Weszliśmy za nim do przedsionka, gdzie orkiestra grała marsza. Tego samego, który nas prowadził na Łowczówek ². Tylko że wtedy szliśmy cieniutkim sznureczkiem, w zimie, w błocie i w beznadziei, a dziś idziemy ławą szeroką i wiosna nas prowadzi!

U Śmigłego w Zwiahlu, wśród białych ścian domu, poczuliśmy się znowu jakby nad Nidą, w Grudzynach ³.

¹ *Fortymbras* — młody wódz, postać epizodyczna w tragedii Szekspirowskiej „Hamlet“. W akcie pierwszym słyszymy, że ciągnie na wyprawę wojenną; w akcie piątym, w chwili kiedy właściwa tragedia dobiega końca, przy dźwięku trąb powraca zwycięzcą. W takim skrócie wydarzeń przebieg jego czynów wojennych uderza sprawnością powodzenia, a fanfary wojskowe zdają się zapowiedzią nowej ery dla królestwa. ² *Łowczówek* — w woj. krakowskim, na pld. od Tarnowa; krwawa ale zwycięska bitwa Pierwszej Brygady w grudniu 1914 r. ³ *Grudzyny* — wieś w pow. jędrzejowskim; legioniści stali tu w czasie pierwszych operacyj na terenie Królestwa.

Jeszcze wiele tych samych twarzy tu zostało. Teraz z nowoprzybyłymi padają sobie w ramiona. Do opowiadania mają mnóstwo. O tym, jak wojowali na północy. Jak brali Dynaburg ¹. Jak oswabadzali Łotwę. Jak sobie tam potem zacie gospodarowali. Jak ich potem Łotysze skrzywdzili na końcu...

— O cóż poszło?

— O głupstwo! Dywizja miała tam teatr. Kiedy odchodziła, zaproszyły się jakoś do naszego taboru dwie ńędzne dekoracje, które sobie Łotysze liczyli za własne, w tym zamarzniętym Dynaburgu. To ci powiem, że się nie wstydzili i o te dekoracje depeszowali do samego Naczelnika Państwa!

Do opowiadania mają mnóstwo. O tym, jak — kiedy układy wahać się zaczęły — Śmigły w mrozie 30-stopniowym przedefilował przed Łotyszami, żeby ich samopoczucie wzmocnić, a same armaty nasze jechały trzy kwadrans po szosie. O tym, jak się te chłopcy łotewskie we fraki poubierały i dziwne mowy trzymały, aby witać polskiego Dowódcę-Oswobodziciela.

Wszystko to nadobnie trąci starym kirchholskim gustem ² i osobliwym szekspirowskim skrótem rzeczy niesmiertelnych, w małym, znikomym czasie uczynionych... Dźwięczy to mocno po długiej i okropnej tragedii, dźwięczy to nowym życiem, które naprzód pośpiesza, dźwięczy to jasną glorią śmiałych trąb powrotu Fortymbrasa.

¹ *Dynaburg* (Dźwińsk) — niegdyś stolica Inflant polskich, dziś miasto pow. na Łotwie. W 1920 r. wojsko polskie dopomogło Łotyszom do ostatecznego wyparcia bolszewików. ² przypomina świetny przebieg walk Chodkiewicza w Inflantach, uwieńczony zwycięstwem pod Kirchholmem (1605 r.).

LEGIONIŚCI

Chodzimy po Zwiahlu, po jego ruinach straszliwych. Słońce rozpryskuje się blaskami wśród resztek domów, a rumowiska żalosne przenika tęczowym opalem.

Jedna część tego miasta została zgruchotana artylerią tak, jak nikt nigdzie nie niszczył i nie gruchotał. Mianowicie, na dany znak, pod cyrkiel ognia artyleryjskiego wzięto murowaną część miasta i jednej krótkiej nocy wystrzelano. Teraz się zda, jakby przez te słabe mury przeszła zaraza nagła, dziury i ceglaste liszaje za sobą zostawiwszy.

Nad zgliszczami niebieski cień przeszłości niepowrotnej chwieje się w słońcu. Błękitne lśnienia przerzuca po drzwiach, zaprawdę ironicznie nad oberwaną pustką sąsiedniej ściany zamkniętych: po drzwiach, po czarnych ganeczkach, niby puste kojce wietrzących się żałośnie w ogromnej pogodzie, po gzymsach, które niczego nie brzeżą, po zwichniętych szyldach, które niczego starannym napisem już nie głoszą.

Stało się to wszystko w ten sposób, że Zwiahel za powstania ukraińskiego witał chlebem i solą ukraińskie wojsko. Potem przyszli bolszewicy, jakiś srogi pułk taraszczański¹. Za karę bili do miasta z drugiego brzegu

¹ nazwa od miasta Taraszczy w Kijowszczyźnie.

Słucza, gdzie teraz w białym ukropie młodego kwitnienia nurza się pałac Lubomirskich. Bili okrutnie, karabinami maszynowymi po brzegu zwiahelskim tak dobrze strzygli, że nikt nie mógł do wody z wiadrem przebiec.

Tak się tu ludzie niszczyli i tak się tu palili, a tylko woda szła i szła, brzegami nienawiścią podzielonymi, ku swoim końcom jedynym. Teraz po obu brzegach Słucza nasze wojsko pracuje.

Tuż pod miastem i dalej, i wszędzie dalej, kraj tak jest ułożony i rozwinięty, jakby go utworzyło przesycone powietrzem, słońcem i wodą słowo Sienkiewicza. Tu skały w garby ruin strojne zstępują ku wodzie wielkimi urwiskami, tam trakt przewiewny na białych skrzydełkach kurzu polata w dal, ówdzie za mostem drewnianym zielony majdan¹, pilnowany strażą chałup i ślepych lepianek.

Na tym majdanie, rzekłbyś miernicze instrumenty ostrej miary świata, stoją rzędami w trójkąt kozłów złożone karabiny naszej piechoty. Piechurzy w hełmach błyszczących dokonują właśnie jakichś ważnych dzieł celowej gospodarki. Oto na barkach, wspólnie do rytmów ciężaru przyśpiewując, niosą ogromne bele dębowe.

Czas i woda dały tym palom twardość i barwę krzemienia. Nie wiem, w jakiej budowie ma to stare drzewo wziąć udział. Niesione przez kilkudziesięciu żołnierzy — z wdziękiem srogiego obarczenia głowy od ciężaru odchylających — wygląda niby potwór o ciemnym grzbie-

¹ *majdan* — plac otwarty pośród zabudowań miasteczka lub wsi.

cie dębowym, na ludzkich pełznący nogach, po bokach kryty łuską dwurzędu metalowych hełmów.

Tu więc, na młodej murawie, podobnie płazom ogromnym z małej rzeki na brzeg wyszłym, mijają się i spotykają nasze zamiary budownicze. Ówdzie znów, za drogą, na górze, gęsto poszyta pierś lasu tętni rozgłośnym śpiewem. Raz wraz z zielonej, niepowściągliwej radości krzaków i pędów wychyla się kask, brunatnym cieniem darzący twarz żołnierza. Jeszcze dalej, w otwartym pałacu magnata przeciąg oklaskuje piechurów, szukających tu czego? Starej flaszeczki z jodyną, skuwki od szuflady, kawałeczków forniru, metalowych kulek od łóżka, i tego jakiegoś niczego, za którym żołnierz wszędzie szuka.

Tak samo na tamtym brzegu, z gromady ruin, z otwartych wrót, okien, z rumowisk i zniszczenia drgającego na słońcu świetlistym dreszczem, wychodzą teraz nasi żołnierze.

To piechota Śmigłego. Ta piechota ma się jutro szalonym marszem rzucić naprzód, przełamać front, zmieść, skruszyć przed sobą wszystko, i niby sztandar ręką konsula rzucony w mrowie barbarzyńców, ma się stać celem i metą dla ruchów całej armii.

BIES

Z ruin poszliśmy ku wsi, na pola. Ziemia tu jest dobra, tłusta, czarna. Pachnie powidłami, pachnie dzieciństwem. Ziemia, która rodzi bez trudu, niby w westchnieniach radości. Ziemia czarna jak heban, tak zdrowa i bogata, że żadnymi sztukami i nawozami naprzykrzać się jej i przeszkadzać nie wolno, bo wtedy zaraz pali.

Ten heban polany jest teraz świeżą falą runi bezbrzeżnej, na której, jak białe arki, kołyszą się w słońcu chaty. Gdzieniedzie widać prostokątne rozstawione, wysokie tyki. To tyki pod chmiel, z którego szło pierwsze upojenie Słowian i z którego pędów atłasowych trysnęły pierwsze nasze pieśni, o chmielu, chmielu, o tym bujnym ziele.

Dzisiaj Niemcy-koloniści przędą to ziele na swych pięknie ustawionych tykach, których prostokątne szyki widnieją z daleka niby wielkie sieci pajęczyny.

Weszliśmy między wsie i opłotki, pogrążone w odmęcie białego puchu sadów. Cicho tu jest, prawie nie słychać ospałej pracy ludzi paprzających się na grzędzie. Tylko z daleka donosi się jęk żelaza.

To podpułkownik Brzozowski naprawia przęsła zerwanego mostu. Ludzie z przeróżnych krajów świata oblewają

się tu srogim potem... Na bursztynowych łydkach Chińczyka spiętrza się mięsień w wysiłku kształtem gruszki, pośpieszne palce Żyda muszą objąć żelazną sztabę, Turczyn patrzy ku słońcu wiśniowymi oczyma, Tatar klnie, a ziewający muzyk ¹ śpieszy się nareszcie.

Dowodzi nimi jakiś oficer z twarzą potarganą wybuchem granatu. Źrenice na tej twarzy gonią się z ustami, a uśmiech złożyć się nie może, bo wówczas ślina ułałaby się zaraz przez poszarpane wargi. Pracują ciężko, wszyscy razem, drzewo, żelazo i ludzie, a czysta woda Słucza wiernie ich odbija i powtarza rozmiarom błękitu. Tu, we wsi, słychać tylko jakby żelazo srodze zachorowało, zległo i w jękach rodzić miało.

Idę między zagonami. Ktoś mały, bosy, we frakowych spodniach, w herbacianej kurteczce, z czerwonym językiem krawatki wypuszczonym po pas, dłubie kusymi rękami na grzędzie. Dłubie w ziemi, przerywa korzonki, zmiata trawę, tyrpie bródką słabej zieleniny, podczas gdy palce jego płaskich stóp czarnymi oczkami nagniotków przypatrują się wszystkiemu uważnie.

Twarz ma ułożoną równomiernie, jak stempel wyrobiony z atramentowego ołówka, gumy arabskiej i papieru. Nie wie, po jakiemu mówi: po rosyjsku, po chachłacku ², po polsku? Służył za buchaltera, za pisarza, za urzędnika, tu, ówdzie, wszędzie, we wszystkich kaznaczejstwach ³ i zarządach, kopalniach, „meblirowa-

¹ muzyk — chłop rosyjski. ² po chachłacku — jak chłop ruski.

³ kaznaczejstwa (ros.) — biura skarbowe, kasowe.

nych komnatach“¹, teatrach, cyrkach, firmach, ekspedycjach, komisach.

Bies olbrzymiej przestrzeni, chciwy a sprzedażny apostoł nieopatrznej jednościi ziem carskich! Malutki kancelaryjny, urzędniczy bies, którego wylęła wielka Rosja na utrapienie świata, między Amurem a Wisłą.

¹ „meblirowane komnaty“ (z ros.) — pokoje umeblowane (do wynajęcia).

PRZYPOWIEŚĆ

Tu i ówdzie w głębi chat, pod plastrem świętych obrazów, niby okruch spłowiałego słońca błyszczący samowar. Wszędzie nad czarnym klepiskiem¹, w koszyku z łyka czy wikliny, kołysze się różowe niemowlę. Z otwartych okien pachnie razową dzieżą.

Aż oto ni z tego ni z owego spotykam na czarnym zagonie, przy wodzie, pod drzewami te kobiety. Idą cicho we dwie. Jedna jest chuda, stara, w szmacinach sztywnych i już jakby trumiennych. Można zliczyć kosteczki czaszki, wyschłe żyły na skroniach i wszystkie grube zmarszczki cienkich, zwietrzałych warg.

Druga jest młoda, urodziwa, oczy ma czarne w wycięciu migdałowym², a każdy ruch jej pełnych piersi i śmigłych bioder świadczy o zdrowiu i piękności. Młoda raz po raz gestem wyciągniętej dłoni czerpie z hełmu zwieszonego przy biodrze. Jest to hełm wielkiej wojny światowej, z którego dziś nie czerpie się już sławy, jeno kiełkujące ziemniaki.

— A kto? A co za jedne jesteście?

— My we dwie, matka z córką.

¹ *klepisko* — podłoga chałupy ubita z gliny. ² *migdałowe wycięcie oczu* — pewien szczególny wykrój powiek, jakby o konturności migdała.

I — że byli ci, tamci, spalili, poszli i wszystko zostawili.

— Petlura — mówię.

— Nie Petlura.

— A cóż Petlura?

— Petlura... — Młoda kobieta nie odpowiada, jeno raz za razem czerpie z hełmu niedbale, jakby plusk wody strząsała tu na grzędę.

— Więc cóż, dokuczył wam Petlura?

— Dokuczył, nie dokuczył, kto jego wie?...

Tak właśnie dziś, w uśmiechu nieświadomych oczu, chodzi po czarnych polach młoda Ukraina, pod rękę z swą Przeszłością. Powolną stopę stawia na wiosennej murawie, nie umiejąc jeszcze z hełmu dawnych bojów pościąć nic, prócz troski o swój codzienny byt.

MONOLOG

Wracając do Zwiahła, spotkałem na rozstrzelanych ruinach warszawskiego dziennikarza. Stał rozkraczony na rumowisku, w pilśniowym kapeluszu, i mrużył powieki pod blask krwawego słońca. Dał mi do zrozumienia, że właściwie nic się osobliwego nie dzieje, że przecież w końcu wojna w dziewięciu dziesiątych sprowadza się do gospodarki jedynie. Dalej, że ma nadzieję za cztery dni być w Warszawie, że będzie wracał, bo w końcu stolica jest mózgiem kraju, że w ogóle człowiek dzisiejszy po sześciu latach wojny pragnie już tylko wypoczynku.

— Myli się pan! — zawołałem. — Powinien pan iść przed siebie i właśnie teraz działać, mówić. Jesteś pan synem wielkiego narodu. Naród ten młodą krwią żołnierzy rozwiązuje kwestię Wschodu Europy. Żołnierze, których tu widzisz w oknach, na drogach, po lasach i ścieżynach, to wzniosłe marzenie historii. To wielcy legioniści, którzy niosą w swym marszu przyszły pokój świata! Każdy ich krok to słowo prawdy, a kiedyś, po wielu latach żyjące pokolenia zazdrościć będą kurzom i pyłom, które stopa tych żołnierzy wzniesiwszy, słała na drogi i kamienie... Huk wozów, które pan widzi teraz tam, pod górą piaszczystą, to zdrowy głos nowego ruchu,

to głos mądrego Zachodu, niesiony przez Rzymian polskich¹ tu, na Wschód. Tak jest, Rzymianie.

— Ledwie wolni, a już tak silni jesteśmy, — wołam — że stać nas na zbytek, jakiego sobie odmawiały najmniejsze narody świata. Stać nas na zbytek uszanowania cudzej duszy, cudzego życia! Stoisz pan tu, na tych potarganych zgliszczach, w najdostojniejszym miejscu świata: tu bowiem pracuje teraz wielki Naczelnik Polski i myśli, jak potężnym sierpem swych wojsk podetnie jutro nieprzyjaciela. Na pewno, proszę pana, nie liczy krwi, którą za wolność Ukrainy przeleje. Na pewno za tę wolność nie każe sobie płacić ani wiarą, ani mową, ani duszą oswobodzonego narodu. Gdzież jest miejsce na świecie, gdzie by się dziś działo więcej?! Masz pan na Zachodzie wielkie słowa i swary okrutne, swary, w których chęć zysku niszczy ostatecznie wszelkie rozumowanie. Masz pan w powodzi procentów, akcyj i koncesyj malutką „Jasność“ Rollanda², która tam tyle znaczy, co iskra spadająca do jeziora... Masz pan na Wschodzie czerwony afisz bolszewicki, pod którym, jak pod nędzną tapetą, roją się pluskwy. Gdzież dzieje się to, dla czego warto żyć? Niezliczone wsie tej ziemi, umierające z głodu i z brudu, rozbite miasta, uschłe drogi, zeszczywniałe koleje, światy ogromne aż po Kubań³, watahy straceńców skaczących po

¹ *Rzymianie polscy* — tu: żołnierze polscy niosący na Wschód Europy ład zachodni — tak właśnie, jak rzymskie legiony niosły aż na krańce swego imperium siew nowej, wyższej kultury. ² *Rolland Romain* — współczesny, znakomity autor francuski, gorliwy apostoł „przyszłego pokoju świata“. ³ *Kubań* — rzeka w Kaukazji; wpływa ze stoków góry *Elbrus*, uchodzi do Morza Czarnego.

śniegach Elbrusu, stalowe zatoki Finlandii, wszyscy rybacy Estonii, każdy łotewski liczykrupa, wszystko to drży z radosnej nadziei, że naród, do którego pan należy, rozetnie swym mieczem niezawodnym tę boleść straszliwą, jaka toczy Wschód Europy. To, co myślały najdumniejsze pokolenia naszej przeszłości, to teraz bucha w mocnym oddechu armij, które chrzęstem zbrojnym napełniają ten kraj od Mozyrza po Dniestr!

Widząc, że słońce zachodzi, że purpura leje się już po rumowiskach, że znad rzeki płyną śpiewy piechoty, że konie podkowami dzwonią po kamieniach i że się powietrze już w dostojęstwa wieczoru przyobleka, dodałem nagle:

— Te armie jutro staną w ogniu wielkiej bitwy... Musisz pan porzucić kawiarniane myślenie. Jesteś pan synem wielkiego narodu.

GRZĘDY

Już mija noc uroczą, sady we śnie się chwieją,
a całą przestrzeń gwiaździstą obrębia tylko porywem
najwdzięczniejszych tkliwości wiotki głos słowika.

Księżyc chyba już zbladł, czy go nie było wcale?

Jeszcze się człowiekowi snuje po głowie wczorajsze
towarzystwo, jakiś urywek walca, zapach kaszy, i daleki
sens rozmów. Druga w nocy. No tak, to zaraz, właśnie
dziś... To właśnie dziś nasze trzy wielkie armie — ostry
sierp w ręku Wodza...

Ale jeżeli teraz, przed wyruszeniem, nie będzie nawet
szklanki herbaty? Ordynansi rajdoszą się za ścianą i sze-
leszczą w słomie jak karaluchy. Budzą. Coraz nad kupą
dziadowskich betów, koców, rzemieni, pochyla się ciemna
postać, która mówi:

— Panie rotmistrzu... Panie rotmistrzu...

— Panie kapitanie! Panie kapitanie...

— Panie poruczniku... Poruczniku, już druga!

— Ach, do jasnej cholery!!!

Już w kącie, przy ziemi, płacze złotym światłem stara
kościelna świeca.

— No tak, o wpół do trzeciej...

Coraz więcej cieniów brodzi między betami. Już ły-
żeczki dzwonią w dziwnej herbacie, z cukrem i z naftą.

A potem nagle wszyscy są gotowi i jeden przez drugiego pcha się drzwiami w tę noc. Piękna, puszysta, nieprzeliczonym rozkwitem woniejąca, szczęśliwa w niedościgłej mecie przezzystych gwiazd.

Skaczemy po bruździe w stronę płotów.

— Cholera nas niesie, Polaków zagorzałych, turgać się tu światami! Masz swoje miasto, czy wieś, śpij, łajdaku, na czym ci Pan Bóg dał, ale to jakaś cholera nas tak niesie!

Wiatr tchnie naprzeciw nas, dotykając cichutko skroni, ust i rąk. Jakby w podmuchu tym, niby w wspomnieniu, wszystkie wymarsze tylu lat wielkiej wojny raz jeszcze zjawiały się od nowa.

Przed sztabem dywizji patrzą w noc wyłupiaste oczy samochodów, a dygocący ich głos zajadłe wierci powietrze.

Na wielkim froncie wszystkie sztaby i dowództwa mają smak benzyny.

Już jedziemy... Każdy wóz rzuca pod siebie na szosę sztywny trapez¹ światła. Noc zaraz zblednie. Z tym ostrzeżeniem może machają ku nam czarne gałęzie drzew. Zdaje się, że zasnąłem. Nagle, ze wszystkich stron doszedł mnie jakiś głos, rozesłany po obu stronach drogi, i po polach, po wszystkich skłonach świtu, a zarazem szleszczący tak blisko... Coś szeleści, chrobocze, skrzeczy, i znów ucicha, i znów dudni i dzwoni.

Otwarłem oczy: Płynę w zbrojnym rozruchu... Ciągnie się to bez końca. Widać czerwone wnętrza kuchni polo-

¹ trapez — tj. czworobok zwany trapezem.

wych, mlaszczące językami płomienia. Widać białe, szklane latarki błyszczące przy wozach światłem mętnego diamentu. Szczękająca artyleria, twarde jaszcz¹, lufy w skórzanych namordnikach i sześć koni bijących ciężkim kopytem, i sześć, i znowu sześć, znów sznury, liny, żelaza, i znów sześć koni, na nich wierzchem artylerzyści. W pierwszych brzaskach, ponad kolumnę wyniesieni, wyglądają na strasznych mnichów jakiegoś tajemnego zakonu ognia.

A teraz już piechota. Całe pola żelaznych skib, które toczą się, kruszą, znów zespalają. Hełmy i hełmy. Całe łąny, całe pola żelaznych skib, przesianych z wierzchu mlecznym poblaskiem świtu.

Niebo zaczyna się wyciągać i określać, jasnymi brzegami do dalekości lasów przytwierdzone. Nad kolumną podnosi się widocznie skrzydło prochu, kurzu i ruchu, — coraz większe. To się tęży, to znów opada, rzekłbyś, przed wielkim lotem.

My skręcamy na trakt. Stary trakt, którym chodziły karawany i po którym się snuły kozackie wojska, między Polską, Kijowem a Carogrodem².

Tu, przy wsi, która nazywa się Kropiwna, rozchodzą się drogi i szosy. Szosą polecą jedne brygady prosto na Żytomierz. Traktem od północnego wschodu uderzą drugie.

Wieś śpi. Malutkie ślepka chałup zachodzą pierwszą różowością, a po strzechach ledwie gdzieniegdzie zsunie

¹ *jaszcz* — wóz dwukołowy należący do działa; przyprzągnięty doń, stanowi przodek jego podwozia. ² *Carogród* — słowiańska nazwa Konstantynopola.

się kropla rosy, z wiązania na wiązanie. We wszystkich sadach, tkanych białą koronką kwiatu, cisza jeszcze spoczywa, tylko z rzadka, nieśmiało zadźwięczy ptasi głos.

Trakt nie śpi. Rowy i podorywki¹ czuwają, okryte mnóstwem hełmów. Hełmy te, niby nieprzeliczona rzesza żuków szaroniebieskich, zaległy trakt i wszystką wolną ziemię. Rowy, place, opłotki i murawy, osypane tym rojem, szeleszczą i sapią, rzekłbyś, jak młode piwo musują.

Generał Śmigły stoi na górze.

Stąd, z tej Kropiwej, niby kołyska na łęgach ziemi ułożonej, rzucić się ma do boju brygada podpułkownika Dęba-Biernackiego. Cała brygada piechoty wali na samochodach, razem z nią baterie motorowe.

Krąg słońca załśnił już na bladym niebie. W siwej, nieruchomej zawiei sadów potroili się głosy ptasząt, i zaraz rude strugi ciepła pobiegły wzdłuż widoku, i zaraz wszelki głos nabrał bujniejszej mocy, a zapach wszelki przenikliwszej lotności. Powietrze odetchnęło.

Tam na dole, gotowi.

Z traktu, z opłotków, spomiędzy chałup i ze wszystkich uskoków czarnej ziemi i ze wszystkich załomów zieleni, spod drzew i spod krzaków porwały się wszystkie żuki na jeden dany znak! Całe strugi jęły się przesypywać pośpiesznie. Mieszały się przez pewien czas, niby mak kraśniejący od słońca. Nagle przez całe mrowie tych hełmów jał się przebijać ku przodowi straszliwy wąż, kurzący dymem błękitnym, szczekający ustawicznie chwytem swych metalowych trybów.

¹ *podorywki* — pola po pierwszym zaoraniu.

Wóz jeden, drugi, trzeci, — dalej, dalej, — dwudziesty, czterdziesty, pięćdziesiąty, — i więcej, jeszcze więcej.

Aż zatracił się w tym chrzęście wozów wielki zgłębienie sąsiedniej szosy, po której śpieszy wojsko; całe niebo napełniło się dymem i warczeniem. Na dany znak, żuki sfrunęły razem, ku długiemu wężowi samochodów. Przez chwilę fala hełmów chwiała się, to niżej, to znów wyżej. Na koniec obsiadły tego węża całkowicie, błyszcząc na jego grzbiecie nieprzeliczoną siatką metalowych oczek.

Wśród chrapania i dygotu, wśród swądu i dymu maszyn, drgnęło naprzód to wszystko; w górę, ku przestrzeni słonecznej, wionęły szare piętna kurzawy. Widać było, że żołnierze coś krzyczą. Sądzić to mogłeś po ich ustach, czarnym kwadratem wołania rozwartych. Widać było, że oficerowie wydają jeszcze rozkazy, ale i to wnosić jedynie mogłeś z żył czarnych od wyteżenia, zesnurowanych na skroni i na szyi. Nikt nie mógł słyszeć słów w potężnym grzmocie maszyn.

Przejęte, prześwidrowane, rozprute zostały słodkie cieszne poranka.

Nagle węzeł się zrobił, wąż łuską hełmów roziskrzony wydał się. Napęczniałe koła gumowe jednego z wozów zaryły w piach i w dziurę... Żołnierze skoczyli podkładać płoty, koły, pnie, podkładać ręce, grzbiety...

Nic tej jazdy nie wstrzyma!

Oto suną na lorach warczących stalowe grzędy młodej piechoty polskiej. Słońce im wozy wyklada purpurą, wielkie oparcia lamą złotą mości. Z każdej grzędy, która przemija szumnie, serc kilkadziesiąt wybucha okrzykiem głośnej dumy. Lotny piaseczek tych dróg, jak duch wiecz-

nego błędzenia, wokoło kół i osi wstęgami pomyka białymi, a pęd pojazdów wiąże te wstęgi w olbrzymie, białe widma.

Mają wstęgi piachu przy osiach, głośnie szarfa wichru szeleści im w uszach, piersi krzyczą, ziemia drży aż do głębi. A ty, który tu stoisz na uboczu, przeniknięty być musisz rzutami tego ruchu przez całe ciało, krew, serce, przez wszystkie zmysły, tak mocno, że jesteś oddany całkowicie, że jesteś porwany razem z pędem jak proch przydrożny.

Teraz lecą smoki baterij motorowych, głos ludzi strzela w powietrzu niby płonące drzazgi, wielką kolumnę żelaza oganiają po bokach szybko warczące, skośne trójkąty motocykletek. Wojenna karawana już się w dół zsunęła, już macha w słonecznej przestrzeni bezmiernymi skrzydłami kurzu, które na przód lecą i na boki, poprzez spłoszone wsie, kwiatuszkami tkane sady, mokre strumienie, szerokie, smagłe pola.

Tak właśnie pierwsza brygada Legionów leciała teraz w przestronne ziemie Ukrainy.

LAJKONIK POD KIJOWEM ¹

Spod Kropiwnej skoczyliśmy znowu na szosę. Tu też zbijają się tabory w węzeł jeden, drugi, i trzeci, nierozplątany.

Jadą jeszcze niewprawnie, stają na poprzek drogi, wywołując w ruchu niepożądane zahamowanie. Gmera ciągle w tym tłumie jakiś taboryta Poznańczyk, klnie starym słowem Piasta, ale cóż to pomaga? Po chwili toboł wozów, dobytków, mienia i potrzeby stacza się nagle z szosy i znika.

Wozy dołem okrążają, mosty są zerwane, z boku zaś na palikach, niby na zapalczkach, nowe postawiono. Cienkie, „na olaboga“ do palów przybite deski wierzgają pod kołami, rechocą, wszystko się chwieje, gnie, aż ciemna woda pod mostkiem zda się blednąć ze strachu.

Już jasny dzień stoi w powietrzu, roztoczony po polach bezmiernych wielkim kręgiem promieni. Niesie nas ciągle naprzód wielka siła całego zamierzenia ofen-

¹ *Lajkonik*, inaczej „Konik zwierzyniecki“ — w Krakowie tradycyjny obchód urządany na Rynku w oktawę Bożego Ciała. Podania wiązały go jakoby ze zwycięskim odparciem Tatarów, dzięki włóczkom (flisakom) ze Zwierzyńca (pod Krakowem). Jest to pochód orszaku w fantastycznych kostiumach; główna postać: Tatar w buchastym stroju, harcujący na przyprawionym koniku i gromiący tłum widzów skórzaną buławą; on to właśnie zwie się „lajkonikiem“.

sywnego. Nie podobna się opanować. Każdy wie, że nie tylko tu, że równocześnie gdzie indziej całe armie zaczynają dziś swój marsz olbrzymi. Że właśnie teraz, dziś, 25 kwietnia, pierwszego dnia walki, skoczyły na przód znaczne grupy jazdy. Patrzysz na piechotę Śmigłego, na to ziarno najlepsze, na tę wspaniałą pszenicę polską, a równocześnie pod powiekami mrowi ci się konnica Romera, biegnąca po kozackim trakcie.

I równocześnie chwytasz spragnionym uchem jęk północnych ostępów, przez które pędzą naprzód szwoleżerzy. I równocześnie czujesz, jak wszystko w tobie drży z radosnego wzruszenia: To czwarta dywizja piechoty, pod generałem Skierskim, górale, Podhalanie, którzy dziś właśnie zaczynają wielki marsz flankowy¹. A od północy, od Owruca, dwie ciężkie kolumny grupy Rybaka, które spaść mają na południe. Jedni będą się bić pod Korosteniem², drudzy spadną na Malin, trzeci to wszystko od północy chmurą orężną nakryją.

Jest tych planów i ciosów, myśli i czynów i śmiechu przyszełego zwycięstwa tak wiele, żeby się człowiek na kawałki rozleciał, by za każdym ciosem wydażyć. Chciałby przy każdej drodze kość swoją jak drogowskaz wbić, każdą trawę opatrzyć spojrzeniem, dmuchać kurzem spod kopyt koni, wrzeszczeć w łomocie żelastwa wszystkich bateryj, być każdym szumem lasu i każdym pluśkiem pomąconych wód. I być tym słonecznym, nieznanym losem, który leży przed najdalszą linią placówek.

¹ *marsz flankowy* — skierowany na flanki, boki armii nieprzyjacielskiej. ² *Korosteń* — miasteczko nad rzeką Uszą, na pld. od Owruca (nowsza nazwa: Iskorost).

To nieznane jest tam, gdzie nieprzyjacieli... Tam wszystkie wody są niewiadome, a w mostach kryje się zaczajona zdrada. Tam wszystkie pola są niepewne, i może wszystkie chałupy zawarczą nagle rechotem karabinów.

To nieznane tchnie tam zewsząd, spod krzaków, zarosli. Leży na łągach zieleni, tajemnym rzutem blasku perli się w świetle. I w najgłębszej oddali za pozornym snem krajobrazu płonie przez mgły poranka, w białych promieniach słońca.

Ku tym mgłom, ku temu migotaniu brylantowych blizn nieba prowadzi swą brygadę, prosto na Żytomierz, podpułkownik Olszyna¹. W starym płaszczu, obwieszony broniami, z kijem pielgrzyma w garści, z ostrym nosem wyskakującym spomiędzy kościstych policzków, z wielkim garbem map, regulaminów i wiedzy wojskowej na siedzeniu.

Tyle ma trosk, a jeszcze, oprócz Polski i Ukrainy, całemu światu musi przecie pomagać... Wszystko musi pouczać, naprawiać i polepszać. Cóż by inaczej począł z tą wspaniałą mądrością, którą nabył w Krakowie, Podgórzu i Zwierzyńcu, na Woli i na Skałach Pannieńskich i pod Oleandrami. Tyle w pułkownikowi nagromadzonej najrozumnijszej prawdy, a tak mało na świecie!

On, Olszyna, „podpułkownik porządeczek“, ojciec wszystkich „króciutkich“, sześciogodzinnych odpraw polo-

¹ *podpułkownik Olszyna* — Wilczyński, z Krakowa, względnie ze Zwierzyńca; stąd żartobliwy tytuł rozdziału.

wych, natchniony Skarga¹ oberwanych guzików i nie-przepisowych naszywek, wspaniały obrońca Reduty Piłsudskiego, szlachetny gość Szczypiorna, znęcenie austriackie na włoskim froncie², pierwszy powstaniec, dwa lata temu w ukraińskim zalewie ranny, męczony i tonący, cudem jakiejś pomyłki nie dobity, znów więziony, głodzony, znów więzienia buczackie czy kołomyjskie w fortece powstań zmieniający, — teraz równym krokiem idzie tę Ukrainę uwalniać w boju wstępnym.

Chociaż i tę wojnę, jak wszystkie inne, prowadzi, rzekłbyś, od niechcenia. To, że się kompanie w prawo i w lewo już rozwijają, to prawie głupstwo... Bo grunt kazanie, grunt ta mądrość cnotliwa, małuczkich naprawianie i dzieł wszystkich niedoskonałych udoskonalenie.

Widać już piechurów, jak niebieskimi paciorkami sypią się po zielonej murawie.

Że się kompanie rozwijają, to jest zwykłe, ale: —
— Czemużeś, bracie, uczepił się tej kuchni?!

Bo się żołnierz chwycił złamanej kuchni, dyszlem do innego wozu przywiązanej, zaciężył, i kuchnia się od dyszla oderwała.

— A widzisz, — głosi podpułkownik Olszyna — czepiasz się zamiast iść, czepiasz się zamiast iść!

¹ Skarga — żartobliwie: o człowieku skłonny do kaznodziejstwa, napominania. ² Szczypiorno pod Kaliszem; w 1917 r. Niemcy internowali tu tych legionistów, którzy odmówili złożenia przysięgi wojskowej wedle podanej im formuły, uważając, że nie odpowiada ona godności żołnierza polskiego, służącego wyłącznie własnej ojczyźnie. — Legioniści poddani austriaccy zostali wcieleni do armii austriackiej na froncie włoskim.

Żółta twarz pułkownika, z suchym ptasim nosem, we wieczną służbę i naprawę wetkniętym, zdaje się boleć, jakby od tej kuchni los całej ofensywy zależał.

— Żołnierz ma iść na wojnę piechotą. Nie ma jechać, bracie. Dobry żołnierz nie da się wieźć! On idzie obydwoma nogami, lewą, prawą i lewą, jak go matka uczyła. To tylko konserwy wiezie wojsko na wojnę, a żołnierza nie wiezie, a żołnierz idzie sam.

Nasz samochód pancerny wyjechał już w głąb szosy. Widać, jak w białym, słonecznym powietrzu obraea się czarne, fukające benzyną pudło, słysząc, że się nagle zaniosło mechanicznym terkotem karabinów maszynowych.

— To tylko konserwy wiezie wojsko na wojnę...

Armaty już gruchoczą od południa, nasz samochód pancerny w środku szosy obrębia równo dal słonecznej przestrzeni, łańcuchy tyralierów wiodą granice naprzód, a pułkownik Olszyna z wielkim garbem papierów, map i wszelkiego wojskowego porządeczku, obrotny i gwałtowny, niby Lajkonik zwierzyniecki aż pod Żytomierz zabłąkany, rozdaje ciosy, sękiem toruje sobie drogę, i tak właśnie aż tu, pod Kijów, niesie z krakowskiego Rynku gderliwą cnotę twardej, zwierzynieckiej kości.

WIEŚĆ

Jak lecą skrzydła polotnym chybkim ruchem, tak biegnie to zwycięstwo. Śpieszy krokami, których zdyszana radość mierzyć już nie zdoła. Dziś miesza się tu z jutrem, dni nie mają już nocy, noc jest pracą, praca jest wyczynkiem, cały świat zebrał się w jedno miejsce!

Jesteśmy w deszczu szczęśliwych nazw, w powodzi świetnych zdarzeń. Wszystko nam sprzyja, chyba los młodości ugodził się tu dla nas z wszelką przeciwnością. Pogoda nas popycha, niesie, sama nieprzyjaciela ukazuje. Drogi nam osuszyła, lasy zapachem napełniła, a mosty szczelną skłonnością, i leci, pędzi naprzód, bijąc o wielkie niebo szarym skrzydłem pochodu.

Ludzie nas błogosławią. Pomoc, wskazanie i wszelkie ułatwienie bieży samo naprzeciw. Piłsudski ciska się po całym froncie. Dziś widział jazdę, po południu artylerię, jutro piechotę, pojutrze radzi znów z generałami. Dowódcy świadczą, żeby dalej nie jechał, że drogi są niepewne, że watahy nieprzyjaciela snują się po lasach...

Marszałek śmieje się, — drogi są pewne, — i pędzi, za nim auta, jak bąki.

Tłum wziętych wsi, rój punktów strategicznych, węzłów kolejowych, wielkich stacyj i miast... Cała magistrała¹ kolejowa przed Kijowem strzaskana. Teraz się włączą po bocznicach wielkie, groźne glisty bolszewickich pancerek i same padają w ogień artylerii.

Bitwy ciągną po sobie szybko, niby chmury wiosenne. Pod Wilskiem strzaskano Chińczyków, w Żytomierzu nie zdążyli nawet zarządzić alarmu, rozbici są pod Korosteniem, rozbici pod Owruczem, rozbici w Berdyczowie, rozbici w Koziatynie. Oczyszczone miasta unoszą oddechem ulgi swą pierś kamienną, bezludna dołąd droga roi się znów od ludzi.

Wieść cudowna, która biegnie z rozstają horyzontów, tak bogata, że nikt już mierzyć jej nie raczy. Idzie z nią pośpiech, snem trudu przetykany, kwapi się uznojenie, w którym wiruje ten błam kwiecistej Ukrainy².

Wieść słodkoustą, szumiącą tętnem krwi, wieść, która hasa po rzeczach, stacjach, domach, miastach, ludziach, rzekach, strumieniach i kurhanach! Która sznurami gwiazd niebieskich ścieka w puszystą noc z mosiężnych trybów radia, która głosem samochodów majstruje wciąż w przychylniej dali, która szmerem podziwu nurtuje ciemne, głodne gromady jeńców, która się leje po tej ziemi poczęstunkiem złotej śmietany, niesionej w glinianym garnku, śmietany godnej najżarliwszego pragnienia, ach, więcej, godnej „Przemian“ Owidiusza³.

¹ *magistrała* — główna linia kolejowa w odróżnieniu od *bocznicy* (linii bocznej, odnogi). ² *błam kwiecistej Ukrainy* — duży szmat Ukrainy. ³ *godny „Przemian“ Owidiusza* — który

Ta dumna wieść otwiera usta żołnierza w czasie snu nagłym śmiechem, przesłanym daleko na zachód, w tę stronę, gdzie stoi wyniosła pośród ciemnych niebiosów gwiazda polskiej Ojczyzny.

mógłby być tematem takich poetycznych opowieści, jakie dał sławny poeta rzymski Owidiusz w zbiorze pt. „Przemiany“ („Metamorfozy“).

KURZ I ŚNIEG

Mam wrażenie, że w przyzwoitej wojskowej posturze¹ trzyma mnie już tylko mój własny pas, ściskający przez pól. Zapewne wszyscy są tak samo pomęczeni.

Kapitan Perrini, dowódca flotyli napowietrznej, kończy odprawę. Tyłem do mnie stoi sześciu granatowych lotników. Pomędzy ich barkami przebłyskuje od strony okna białe pasmo świeżego bzu.

A po szosie lecą zwiewne kule pyłu. Cały świat znika nagle w ich obwodzie. Już się rozeszły. A oto znowu pędzą. Widzisz je, jak mijają jedne za drugimi, niby wędrownie garby dalekich dróg.

Podpułkownik sztabu generalnego Stachiewicz chce się dowiedzieć, za ile minut doleci do linii bolszewickiego odwrotu. Oficerowie skupiają się blisko nad mapą. Młode czupryny lotników obrzeża smukła kiść bzu śnieżnym urokiem. Znów nie widać aeroplanów za szosą. Kurz rozpostarł swe wiotkie, płynne ramiona i nagle wszystkimi razem przepadł płasko do pola.

Kapitan Perrini wciąż jeszcze mówi. Język polski brzmi w jego ustach jakby brzmiała jakaś mowa po cudownym ocaleniu z nieszczęśliwego wypadku.

Dopiero rok jest w Polsce, pochodzi z Włoch.

¹ *postura* — postawa.

Dyspozycja¹ skończona. Wszyscy patrzą na samoloty, które stoją nieruchomo, niby żelazne, olbrzymie pszczoły o szerokich skrzydłach.

Teraz już rozmawia się całkiem swobodnie. Wśród białych ścian ukraińskiej chaty rozbrzmiewa naraz kilka języków zachodniej Europy. Oficerowie eskadry to ochotnicy, przybyli tu z najdalszych części świata. Słowa mieszają się wciąż z różnymi stronami świata, bo ci ludzie latali wszędzie. Góry w opowiadaniu ich nabierają znaczenia rzek, które się przepływa, a odległe miejscowości dotykają się wzajem, rzekłbyś, łokciami.

Idziemy do maszyn przez szeroki, wzlotami starszony wydmuch.

— Nikt by w czasie światowej wojny — objaśnia Perrini — nie latał na takich aparatach. Te maszyny za nic już nie odpowiadają.

Zaczyna się dłubanie w ogromnym odwłoku pszczoły. Ma ona wnętrzości urządzone z metalowych walców, przewodów, gumowych kiszek, zamykanych brodawkami z białej porcelany. Opleciona jest grubym drutem. Ma dziurę w środkowej części ogona. W tej dziurze siedzi oficer, który kieruje karabinem maszynowym. Teraz właśnie odkręcają ten karabin. Podobny jest do stalowego pasożyta. Powyżej jest miejsce dla pilota. Parę przekładni, parę kontaktów, bardzo ograniczona ortografia znanego człowiekowi ruchu.

Dotykamy skrzydeł maszyny, impregnowanych, hucających pod palcami. Tymczasem mechanik rozkręcił

¹ dyspozycja — rozporządzenie; wydawanie rozkazów.

jedno kółko motoru. W czarnych i ciepłych palcach szeleszczą druty i gładkie węgielki. Odbywa się łapczywe karmienie tego owada. Do wszystkich nerwów, wylotów, połączeń przysać się musi metalowa szpryca, która pukając wyświechtanym brzuszkiem, wciska w sztywne żyły motoru czarną oliwę.

Ktoś ostukuje gładkie biodro śmigi.

— Z jakiego drzewa?

— Śmigi robi się, o ile możliwości, z wielu gatunków. Aby miały jak największą twardość.

Więc w tym gładziuskim, politurowanym goleniu jest cały las... Więc to las wiosłuje w powietrzu, on, który, jak nikt, umie motać wichry i osłaniać przestrzenie.

Już wszystko gotowe, przymierzone, dokręcone, domknięte. Teraz trzeba, żeby chwycił motor. Zaczyna się coś, co by można nazwać wyzywaniem przestrzeni na daremno. Dwóch żołnierzy szczepia się w dwa ogniwa. Jeden puszcza śmigę, drugi, dla większego rozmachu, odrzuca kolegę w bok.

— Kontakt — wołają.

— Kontakt — odpowiadają, — i rzut.

Śmiga za każdym razem ospale przekreśla powietrze i odmachnąwszy się, wraca do pozycji.

— Kontakt — wołają.

— Kontakt — odpowiadają.

Maszyna odmierzy parę słów swej benzynowej wymowy i umilknie. Żołnierze we dwóch, rzekłbyś, strzęp mięsa, skaczą na nóż śmigi, śmiga ten strzępek szybko przetnie — i stanie.

— No, na wielką wojnę nikt by nie pojechała, dawniej, takim maszyną — twierdzi stanowczo kapitan Perrini.

Znów się cisnęli, znów wąskim ochłapem zwiniętego mięśnia w dół odpadli.

Nagle odwłok pszczoły począł z hukiem dygotać, żelazne płuca jęły rozdzierać powietrze, śmigła rozrosła się w malutkie politurowane słońce. Słońce to w piekielnym łoskocie znikło, zostawiając po sobie szarą, nieuchwytną aureolę straszliwego obrotu.

Ktoś chwycił mnie za ramię i z całej siły szarpnął w tył.

— Po cóż pan podchodzi — jeszcze krok, a przecięłoby panu głowę. Taka śmigła tnie człowieka jak masło.

Prawda. Te wszystkie rzeczy są tak szybkie, dokładne, że trudno aby obok nich wciąż nie stąpało przewrotne roztargnienie.

Trawa zjeżyła się dokoła od pędu powietrza.

W taki świat, z kilkoma drucikami, ze szczyptą fizyki, z formułą suchej wiedzy...

Nareszcie obaj usiedli w odwłoku maszyny, podpułkownik i pilot, obleczeni w szare domina¹, z twarzami jak pyszczki gacków, wystającymi ze skórzanych mycek².

Zaraz ruszą... Na spotkanie, od strony szosy, toczy się ku nam ciemna, rozczochrana głowa kurzu. Toczy się, wzrasta, podskakuje, niby jakowaś omyłka ziemi zabłąkana wśród kwitnącej zieleni.

Ruszyli.

¹ *domino* — długi płaszcz (pierwotnie na zabawę maskaradową). ² *mycka* — czapeczka.

Pozegnaliśmy się z lotnikami, wracamy.

Droga prowadzi wśród opłotków, zza których wybu-cha białe, kwitnące szczęście dzikich wiśni. Podchorąży układa ogromny bukiet, ja zaś lubuję się w starym rozu-mie uschłych kołków, bogobojnie wspierających płochą wiosnę tego płotu.

Już nie widać podchorążego, tak głęboko wdarł się w śnieżną gęstwinę. Słyszę tylko łamanie gałęzi i kilka słów, które mówi obojętnie.

— Pomyśleć, że za godzinę powrócą znad Kijowa.

Za godzinę wieziono ich półprzytomnych do stacji, z głowami w białych turbanach bandażu, który im błyszcział na skroniach jakby śnieg mroźnych wysokości.

ZAGNANY KOŃ

Orkiestra miętosz tryumfalnego marsza, malutki, siwy generał Skierski, w ogromnych niebieskich spodniach, chyba że aż po pachy, wychodzi na stopnie wagonu Naczelnego Wodza. Stalowy płot kompanii honorowej właśnie spoczął w słońcu. W głębi dworca pełno ludzi.

Na budynku widnieje jeszcze napis: *I s k o r o s t*¹.

Pułkownicy, dowódcy grup, które szturmowały ten Korosteń, przechadzają się przed frontem, czcigodnie sięgając spódnicami wojskowych płaszców. W dali przecina pogodny blask lekką tkaninę mgły.

Już się drzwi za generałem zatrzasnęły.

Któryż to raz w czasie tej kampanii słucha Naczelnego Wódz szczegółowych raportów dowódcy?! Każdy z tych generałów wie, że wcześniej czy później zjawi się ta ważna chwila. Całą ceremonię wezmą nagle diabli, i z mapką swego odcinka stanie się w małym salonowym przedziale... Będzie się zdawać sprawę z przepro-

¹ *Iskorost* — nowsza nazwa dawnego Korostenia. Był to ongiś gród *Drewlan* (szczepu słowiańskiego siedzącego w X wieku na Wołyniu). Tradycja wiązała go z postacią księżniczki *Olgi*; skały nadrzeczne zwała „wannami księżniczki“, opowiadała o mściwym spaleniu przez nią grodu itd.

wadzonej roboty temu Strzelcowi¹ w niebieskiej kurcie, który przez cały czas raportu chodzi szybkim krokiem piechura tam i na powrót po ciasnym wagonie.

Na stacji i za stacją i wszędzie, pełno żołnierzy. Leżą twarzami do słońca, wsparci na kamieniach, plecakach, łokciach, manierkach. W otwartych ustach piechurów płonie odblaskiem krwi różowe światło snu. Bezgraniczny trud marszów powalił ich na ziemię gruntownie.

Ziemia ta nie jest, jak wszędzie tutaj, równa, płynna, lecz właśnie zniecierpliwiona, związana górką i doliną, porywami wysokości biegnąca. Stara, prastara ziemia cudnej księżniczki Olgi, która mieszkała w Owruczu, i tu miała letnie wywczasy i tu się, zaraz niedaleko, na zielonych kamieniach w niebieskiej wodzie kąpała. I tu się od Tatarów broniła, białe gołębie z płonącymi żagwiami u skrzydeł na oblegane miasto wysyłając. Stara, prastara ziemia, kołyska lubego wdzięku oraz twardego okrucieństwa, kołyska Rosji.

Tu, w ostatnich latach przed wojną, wznosili pałac, sadzili park wierni słudzy ostatniego carewicza, który z ojcem swym zginął na zawsze w rękach motłochu.

Zeszliśmy w dół z biegiem strumienia. Zostańmy chwilę. Słoneczna cisza lepi się słodko pośród osiwiąłych kamieni, zniesionych na ten czarnoziem niepojętym wysiłkiem natury. Z oddali widać zielone kopuły cerkwi.

¹ *Strzelec* — Dawny „Komendant“ Strzelca zawsze najchętniej przywdziewał niebieską bluzę strzelecką, która w pamięci współczesnych związała się tak nierozdzielnie i chlubnie z początkiem polskiego czynu zbrojnego 1914 r.

Głośna fanfara któregoś pułku piechoty mieni się pośród nich potężnym dźwiękiem. Plusk wody fanfarę porywa, zwodzi, ponad falę podrzuca, przez słońce cedzi, pod modrą falę bierze i w dół po głazach tula, aż tu.

Aż tu, gdzieśmy stanęli nagle. Leży tu na murawie krępy rosyjski koń.

Martwy.

Z tych koni, co to chodzą, chodzą i gonią, i nie jedzą, a służą. Nogi wyciągnął przed siebie. Grzywę czarną na trawie rozścielił. Pasma tej grzywy, niby czarne płomie-
nie, wiją się między białymi strzępami wielu odez, które tu ktoś obok porzucił w ucieczce.

— Widzisz, ten koń zagnany, to jest Rosja, — rzekł mój towarzysz — tu, u swych źródeł, odezami ukamie-
nowana.

Może istotnie leży tu teraz bezwładna, na brzegu strumienia, w którym swą krągłą smagłą chłodziła księżniczka Drewlanka. Pod tym niebem cudownym, tu, na najstarszej ziemi ruskiej, gdzie wielki polski Wódz wprawia już w ruch wahadło nowych czasów.

CUD

Kiedyśmy przyszedli nad dawne rzeki, nad dawne bory, nad dawne brzegi naszej minionej siły i potęgi, a zarazem nad skraj i przepaść naszych win stuletnich... Kiedy na trawę tych stron upadł żołnierz rumiany od znojnego pościgu; kiedy cisnął buty o ziemię i w zimnych potokach zanurzył nogi schodzone; kiedy ustawił broń i plecy juczne położył znowu na tej ziemi, jak ich tu nie kładł od dawnego, straszego czasu, gdy stąd, lat temu przeszło sto, na wieki, zda się, odchodził... Kiedy takim sposobem zakończył teraz pierwsze prace, wszystkie linie, magistrale, zapory, pancerniki przetrąciwszy, cóż stało się?!

Oto niebo wezbrało swą pierś ogromną, pochyliły się drzewa, przybladł las, zaćmiło się zboże, woda okryła się w potokach zmarszczkami jakiejś, zda się, nadziemskiej troski. I jakby ktoś bezdenne wagi błękitu odwrócił nagle i chlusnął z nich na tę ziemię pośpiesznie wszystką, wszystką wodą ochłody!

Deszcz przeleciał rzęsiście, do którego żołnierze, tu dziś na granicy 1772 roku stojący, wyciągali ręce, skłaniali twarze, otwierali usta.

A potem, na noc, rozwinął się czyściutki firmament, patrzący nieprzeliczonym srebrem gwiazd. Na liściach

i gałęziach zderzały się jeszcze krople niedawnej ulewy, a w boru, w gaju, trwał dźwięk słowiczy, echem po rośach płynący. Niewidzialna, niezłowiona harfa cudowności, całe niebo głosów, pękami brzmień w światłościach księżycowych rozkwitłe.

Czy wiedział kto, czy nie wiedział, jakie szlaki przekracza, którą drogą zmierza, gdzie jest: odczuwał każdy tę noc majową, jak się doznaje szczęścia.

Tak się działo w pierwszych dniach maja 1920 roku na starej polskiej granicy z roku 1772 w całym wojsku Marszałka Piłsudskiego, nad Teterewem i Irpeniem, nad rzekami, wśród lasów i pól Ukrainy ustawionym.

Tak się tu spotkały młode szeregi z wodą burzy upragnionej i z nocą krzepkiego snu.

FIGI

Mnie i jeszcze jednego kolegę poniosło naturalnie za rzemieniami. Będą nowe rzemienie, albo angielskie kieszenie na mapy, z kompasem, z kartką, z podziałką, tak wygodne, że tylko w nich przedziału sypialnego nie do- staje. Albo wspaniałe popręgi amerykańskie, jakich świat nie widział, i uzdy. Skóry chrześzczące, nowe i tanie, po- wiadali, że można dostać w Berdyczowie.

Każdy, kto mówi o Berdyczowie, robi okrągłe oczy, okrągłe usta, zaokrągła brwi, nawet nos mu się równa kulisto do okrągłości niewysłowionego podziwu.

Berdyczów jest jak rak¹... Wysusza dookoła siebie całkiem doszczętnie. Podobno bolszewicy zostawili tam kolosalne składy. Nieprzebrane mrowie dobytku. Dobytek ten znikł w ciągu jednego dnia. Potem znów Poznań- czykom przydarzyła się tam wielka mnogość przyrządów naukowych, szklanych, soczewkowatych, uczonych, a bar- dzo drogich, nikomu prócz wiedzy nie potrzebnych. Przy- rządy te, również w przeciągu kilku godzin, wsiąkły cał- kowicie w berdyczowską ludność. Teraz już nikt nie od- szuka, co, jak, którądy. Trzeba by na to znać drogę do podziemi Berdyczowa, gdzie jest całe miasto, całe prawo i wielka praca podziemna.

¹ jest jak rak — jak złośliwy nowotwór zwany rakiem.

Słysząc nawet w nocy pracowite dyszenie tego podskórnego życia. Drukarnie tam idą pono, warsztaty, fabryki.

Doczepiliśmy się do spraw zamierzonej uroczystości i pojechaliśmy do Berdyczowa.

Tak, załatwić polecenia, wspomóc służbę. A z reszty czasu, z tej kropli, co sobie padnie niechcący za szerokie brzegi obowiązku, mały użytek chcieliśmy zrobić dla naszych prywatnych interesów, które są oczywiście niegodne tej chwili wielkiej. Ale tak małe, że komuż jakieś zło przynieść zdołają?

Berdyczów leży w zieleni pól i lasów, rozprzestrzeniony jak liszaj ogromny. Łuszczycą swych dachów wytrawił wszelką zielenią ze swego obwodu i buja szeroko, na podobieństwo złośliwego nowotworu.

Chodzimy po ślepych, chorych uliczkach, między ludźmi, którzy są obkruszeni i chromi, tak samo jak okruchy lepierek i sparciałych murów. Chodzimy, gibamy się z nogi na nogę, bijemy rękawicami w zawarte drzwi maleńkich sklepów.

Nic i nic, nikt nie otwiera. Więc podpieramy biodra jedną ręką, podczas gdy druga puka oto dalej dostojnie. Aż wreszcie odpowiada coś z głębi, chrzęstem i utyskiem. Jakowys rozgłos na granicy ludzkiego głosu i szelestu żelaza, skór, gum, sprzętów.

Odpowiada zatwardziały głos towaru.

Po chwili wyłania się zza węgła nikły, ospały żydowina, patrzący przed się kaprawymi oczyma, które mogłyby chyba wypaść na bruk ulicy, tak luźnie obracają się w czerwonych powiekach. Człeczek ów osadził

się jak gdyby jeszcze czujniej na swej własnej marności i przemówił ochrypłym żargonem.

Wynikło z tego, że towar nie na tej ulicy, właśnie nie na tej!...

Bijemy się po kieszeniach dumnie. Tak jest, zapłacimy: nie o to chodzi, lecz gdzie można dostać w ogóle takie rzemienie, taszki ¹, skóry?

Żydek marszczy się, kurczy, w niewytłumaczony sposób zaciąga się cały włosiem, które mu zarasta chyba nawet czerwone szparki powiek.

— Tam, u innego, gdzie indziej.

I znowu przez łamigłówkę kamyków, pod ganeczkami, z których, jak liany, spływa w tłustych warkoczach brud, przez podwórka, na których wnętrzności kury i gęsi leżą niby opalowe, mętne klejnoty, — gdzie indziej, do tego innego.

Tak doszliśmy aż do klasztoru. Któż by się nie pokłonił murom pamiętliwym, któż by ominął chłodne cienie barokowej bramy, któż by w białym pierścieniu amfilady ² nie uczcił rozbitych urn i kwiatów kamiennych. I znowu przez łamigłówkę kamyków, pod ganeczkami, z węgła do węgła, ażeśmy przyszli skądśmy wyszli, bez niczego i tylko z czczym powiewem rękawicy w dłoniach.

I głodni!

Zaczęliśmy teraz kierować się celowo, aby zahaczyć o jakąś władzę, która chyba, jak wszyscy śmiertelni, w czasie obiadu obiada. Łaskawy los nadarzył nam

¹ *taszka* — kieszonka, torebka. ² *amfilada* — długi ciąg następujących po sobie izb, sal, arkad itp.

cały wagon władzy, — naszego generalnego komisarza Minkiewicza z polskimi urzędnikami. Zaraz zdjęliśmy z siebie pasy, przeliczyli spojrzeniem uczestników i możliwości wagonowej jadalni.

Niech tu będzie sprawiedliwie powiedziane o nas i urzędnikach, którzy chodzą w mundurach polskich i noszą złote gwiazdy w srebrnej skibie na kołnierzach, że dobrego losu zbytnio nie fatygują.

*Jedzenie, jak na takie wysokie guwernowanie¹, jak na tak przełomową dziejowość, nikłe. Raz zaledwie powtórzona wódeczka, poparta trocinową rybką z puszki, zielony koperek na wątłym pływający rosołku, ogromnie twarde mięsko!

Urzędniki nasze i dostojniki gadają o Ukrainie.

Jeden wysoki, zawzięty redaktor kresowej polskości, Wołoszynowski. Drugi urzędnik, Zagórski, bywały „w Paryżach, diabłach i Londynach“, po ukraińsku „każe“² świetnie i między rybką a rybką podrzuca wciąż, jak przynętę, pulchne słowo „ap-parat“.

Ukraińcy ciągle powtarzają pono, że teraz „pierwsza rzecz u nich będzie stworzyć własne ap-pa-raty“.

— Niech żyje ap-pa-rat!

— Pan się śmieje?

— Wcale się nie śmieję, — odpowiada urzędnik — raczej mają, że tak marzą o tym aparacie. Proszę nam nie brać za złe, że o tych wszystkich rzeczach mówimy tak po prostu. Każdy z nas zna ten kraj, pokumał się z nim, tu czy tam, niedaleko chadzał pod własną szubie-

¹ guwernować — sprawować rządu. ² „każe“ (ruskie) — mówi.

nicą, lub obrywał się już ze sznurka, lub pod murkiem miał być zaciukany... Każdy z nas prawie wahał tu kolbę, która mu głowę miała rozmiażdżyć... My wszyscy służyliśmy tu w P. O. W., to był też „apparat“. „Apparat“, panowie, to znaczy, że każdy z siebie, za cenę własnej głowy, wszystko najdroższe odda na rzecz jakiejś anonimowej sprężynki w wielkiej maszynie, która służy do uporządkowania poszczególnych główek na równej grzędzie Państwa. A cóż bez tego dzisiaj?

Rozmarzyły mnie dwie komisarskie wódeczki oraz te słowa pełne przyziemnej pokory i patrzą z rzewnym błogosławieństwem w oczach na władzę naszą cywilną, gładką, naoliwioną politycznie, zaciśniętą w półwojskowe mundurki, na ten nasz eksport pożywny, sprasowany dokładnie jak wyborowe figi.

NA DWORCU BERDYCZOWSKIM

Ze wszystkich drzwi wybiegają na peron małe dzieci, w dzierganych spódnicach lub kolorowych majtasach. Z miałkim odgłosem łapci wkracza szkółka męska, malcy wypinają piersi opięte płócikiem, czarny surdut nauczyciela płynie nad nimi.

Jeszcze nie ma jakiegoś ważnego sztandaru, jeszcze go nie przynieśli. Dwaj skauci wypuszczają się jak legawce, dopadli naczelnika stacji, wstrząsnęli księdzem, zmierzwili nauczyciela, zaplątali się w sznury kilku adiutantów, wreszcie przeskoczyli w rozpędzie przez malutkiego generała Listowskiego, i oto śpieszą, gonią. Nareszcie zziąjani wnoszą ten sztandar, sztandar młodzieży polskiej, na który złożyły się ich wszystkie oszczędności.

Teraz już wszystko jest.

Są dyrektorzy, jest społeczeństwo, jest czarny, czcigodny duchowny, nad dziećmi kołyszą się w oczekiwaniu ważnego wydarzenia zacne nauczycielki. Jest to wszystko, co się tu ziemi uczepiło sercem kresowym, co się tu ciułało, zbierało, chroniło, i przecież ostało.

Obok dwurząd jakiegoś batalionu, który gdy się na komendę sprężył, wszystko we mnie zamarało... Komenda była nie nasza, gdyż wojsko ukraińskie.

Już przyjechał Naczelný Wódz.

Przeszedł przed frontem żołnierzy i przed białym dwurzędem sokolic. Kroczył, niby w furkocie liliowego ptactwa, w deszczu gałązek bzu.

Dziwnie ma się nasz Wódz do dzieci: Ma się, jak do żołnierzy. Nie rozczuła się, nie roztkliwia. Stanie przed nim dwóch malców, z olbrzymimi wiatrakami kokardy atłasowej pod brodą. Zaczną mówić swój nauczony wierszyk... A on, Wódz, rękę na głowie dziecka położy, lecz nie patrzy na nie. Jakby poprzez te główki wiecznie w przeszłość patrzył.

Na dworcu przygotowują miejsce dla nowego pociągu. Ataman Petlura przyjeżdża za kilka chwil z Winnicy.

Już biegną ku niemu oficerowie ukraińscy. Z wagonów wyskakują łącznicy i najbliższa świta. W długich granatowych czamarach. Nie można powiedzieć, by pociąg Atamana był bogaty. Jest ubogi.

Petlura siedzi jeszcze w swoim wagonie. Po dworcu kręcą się jego mołojcy, bardzo smagli, dobrze dobrani. Za pomieszczeniem dla żołnierzy stoi na lorze auto atamana.

— Jedno tylko ma? — pytam.

— Nie wiem, czy jedno, ale za to taki morowy Cadillac! ¹ — gderze za mną nasz herszt automobilowy, Meyer.

Na Cadillacu z kół, z latarni, z obręczy, z oparc, zwieszają się gałęzie przywędłego bzu.

Nasz Wódz nie ma czasu zbierać i chować tych oznak hołdu, radości, a oni sobie tam w Winnicy zbierali i skromnie oszczędzają.

¹ Cadillac — automobil marki Cadillac.

Ataman nie pokazuje się jeszcze. Musi się jeszcze wyklarować¹ cała ceremonia.

Dopiero po przyjeździe ukraińskiego pociągu widać, jak wszędzie dużo nas jest i jak wszędzie nasze barwy rozkwitają. Żółto-niebieska chorągiewka² na samochodzie Atamana trzepoce samotnym skrzydełkiem.

Ceremonia już się wygotowała!

Ataman schodzi po stopniach wagonu, z głową lekko ku prawemu ramieniu przechyloną. Jest średniego wzrostu, dość krępy, złotowłosy, w granatowej świtce. Oczy jego błędzą po oficerach polskich i ukraińskich.

Czuję, że w tej chwili my i oni chcemy jak najlepiej, na długo i na zawsze... I to się właśnie wyraża w poważnym, sprężystym ukłonie wojskowym wszystkich oficerów, którym ścielona jest cała droga Atamana, od stacji aż do pociągu Naczelnego Wodza.

Razem z tym ukłonem cisza upadła na plac, objęła mrowie żołnierzy i ludności. Tak wielka, żeby w niej można było usłyszeć ciszę niebiosów, przyciętą gdzieś u brzegu dachów jasnym świegotem wróbli.

Ataman znajduje się w połowie drogi między stacją a wartą honorową. Na ciemnym tle pociągu występują wyraźnie białe blaski hełmów. Nieruchome oczy żołnierzy rozgranicza matowa pręga sprezentowanych pionowo karabinów.

Przy schodach odprawił Ataman świtę i dalej idzie sam.

¹ *wyklarować* — wyjaśnić, ułożyć, ustalić. ² *żółto-niebieska chorągiewka* — o barwach Ukrainy.

Teraz go widać, jak mija pierwsze okno, powolny, złotowłosy, zdrożony brodnik¹ Ukrainy. Granatowa czamara mija już środek szyby.

Naprzeciw niej w drugim końcu korytarza ukazał się właśnie, schylony, naprzód podany, prędko, rzekłbyś: prędko, szary orzeł o małej głowie spiżowej. Piłsudski.

Jeszcze ich cztery kroki dzielą... Aż oto wyciągnęli ku sobie ręce i skłonili głowy do pocałunku.

A mnie się zdało, że w pocałunku tym, jak gdyby na wadze najczulszej, zawisła zgroza wszystkiej krwi regimentarzy² i atamanów, wszystek ból długiej walki, ból dróg i bezdroży, pożaru i zniszczenia, umowy i rozłamu...

Jakby nagle na najcieńszej granicy, gdzie się los między szczęściem a zbrodnią przechyla, zakwitła wreszcie miłość.

¹ *brodnik Ukrainy* — ten, kto ją zbrodził, przewędrował wszczeg i wzdłuż. ² *regimentarz* — nazwę tę nosił w Polsce od XVII w. zastępca hetmana.

WIEŻA BABEL

Na wysokim podejździe kamiennym przedziwna karawana: tłum przybyszów, odzianych w cywilne, eleganckie sukna, kupa skórzanych walizek, skrzynki konserw blaszanych, na których lśnią duże angielskie napisy.

Jakiś oficer obiegał tę wysepkę koców, kufrów, sztylp, okrętek, pledów i kapeluszy, spomiędzy których wysmykiwały się wciąż obce, różnojęzyczne słowa. Słowa te zdawały się udręczać wielce tego oficera, który wszystkich wojskowych przechodniów zatrzymywał, rozpytując, czy władają jakimś obcym językiem.

Podszedłem tedy, chcąc wesprzeć kolegę i obejrzeć cudzoziemców. Patrzą na człowieka zimnym, szklanym okiem międzynarodowej ciekawości, a zapytani ciskają od razu nazwy wielkich wszechświatowych dzienników.

Więc to prasa!

Posypało się na mnie z góry tych kilkadziesiąt tytułów, którymi rozbrzmiewają największe ulice świata. I zaraz z głębi pamięci mej, tu w Żytomierzu, zerwały się wszystkie papierzane słowa, brukowy żywot wiodące wśród żelaznego świata. *Times*¹, *Journal*, *Temps*, *Manchester Guardian*, *Petit Parisien*, *Illustration*, *Daily News*, *Chicago-Tribune*, *New-York Herald*, — wszystkie te redakcje, krągłymi ślepiami białych lamp patrzące na

¹ *Times* itd. — tytuły wielkich pism zagranicznych, angielskich i francuskich.

złote noce stolic. Prawo tych przedstawicieli do wszędobylstwa zdało mi się nagle tak konieczne, że z żalem i niesmakiem dla samego siebie jałem odpowiadać na łapczywe pytania...

Oni zaś dobyli notesów i na białe kartki szybko jęli saczyć kręte, spieczone niteczki pisma swego, to się rwące, to znów złączone, — grubi, zwarci, niby różowe robaki, które jeszcze jeść nie skończą, a już się karm przez nie spożyta w cieniutki nawóz przeobraża.

Od strony miasta wyskoczyły samochody.

Wielcy dziennikarze upakowali się na ceratowych poduszkach, kufry i torby jęknęły, i już wozy upakowane tą prasą odjechały. Zostałem sam naprzeciw jedynej, opuszczonej przed dworcem dorożki. Nie wiem, kogo tu przywiozła, bo nie było przy niej ani woźnicy, ani gościa.

A jednak jakby to ona właśnie była jedyną prawdą wszystkiego, co się tu działo, dziś dzieje, czy kiedyś dziać będzie... Większą prawdą, niż ów pęk tłustych pracowników głośnej prasy świata, co przed chwilą odjechali, ułożeni na poduszkach... Oto stoją okrągłe koła tej dorożki, na których wznosi się zaprawdę nie żelazo i nie oparcia, a rzekłbyś, sama dusza tutejszego miasta. Nad nią koziół tak cienki, że szkielet mógłby z niego powozić...

Wszystko tak stare, że aż przeźrocyste. Zwitek sznurków i łąt i spleśniałych rzemieni. Zwitek szarej, zakurzonej pajęczyny, zaprzężony w starego konia.

Obciążone boki zwierzęcia pokrywa szara skóra, cieńsza niż plusz zleżały. Półzamknięte źrenice mżą słabym światłem pobłażania, a krwawe, do uśmiechu otwarte wargi rozchyła i jakby z wiatrem porusza sama pustka.

KIJÓW

Po górkach i drogach, po wojnach i trudach, zbliżamy się nareszcie do miasta, które jest złotym kluczem tej uroczej ziemi. I nie dlatego woła żołnierz, i nie dlatego musi pośpieszać koń, i nie dlatego trzody pogania się żarliwie z miejsca na miejsce, i nie dlatego płynie obfity pot, żeby się miało do zbytków, do rzadkich złotogłowiów¹ dobrać! Ale że pośpieszamy i przybywamy do miasta, które ma duszę tragiczną. Które nazwę swą budowało wiekami wojen, modlitwy, oraz cierpień.

Dlatego żołnierz, resztką tchu śpieszący za swym cieniem, liczy słupy przydrożne, dlatego spierają się oficerzy o przydział do służb i zajęć w tym mieście.

Teraz ma to miasto wziąć twarda ręka polskiego generała i ma je z wszystkimi skarbami, kopułami, cudami, świętościami jak garść klejnotów oddać i zsypać w dłoń Atamana.

Im bliżej, tym bardziej jeszcze step się tu podnosi. Ziemia dąży pod górę, znów opada. Lasy zabiegają drogę, głębokie, czarne, jak jeziora szumiące, w których armie całe tonąć mogą, niczym garstki rupieci w stawie bezbrzeżnym.

¹ *złotogłów* — ciężka, kosztowna materia jedwabna, przetykana nicią złotą.

To znów górki stepom przeciwstawiają się, to znów śpieszne kroki zatrzymuje rozlewny jar, do którego skłonów, jak szare owce trzód, tułą się strzechy wsi. To znów pustka przegina się na płodnych polach, w kwilącym wietrze rozciągnięta ku jakimże granicom niedościgłym?!

Kto nas widzi, gdy tak idziemy kolumnami długimi, poganiani młodością, wielką myślą opętani, w kurzu dróg szczęśliwi i pragnący? Nie patrzy na nas ten chłop, co nas raczy ze swych garów chrobotliwych, z których żłapiemy gębami hoplitów¹ zimną ochłodę mleka, tak potrzebną, chwalebna w tym skwarze. Nie patrzy na nas chłop, i nie te baby patrzą! I nie baby i nie dzieci i nie popy...

Spoziera na nas sława wyniosła, którą w lubej nieświadomości czujemy wmieszaną powszędą, w każdą drobinę kurzu, w każdy cień, i wysoko na niebieskich stropach błękitu lśniącą.

I tak idziemy, póki nie dojdziemy przez wszystko, co spotykają rozpętane serca i sroga broń na drodze wielkiej, niebezpiecznej, przez wszystko opisane, czy nie opisane, aż ku murom odwiecznego Kijowa.

Mury, wieki i prace, trudy, cierpienia i losy.

Światłość tarza się w zieloności, a blask jest tak wezbrany w kopułach cerkwi szmaragdowych, że, myślisz, zaraz porwie je ku górze, pogna siłą polotną przez wszystkie chmury i błękitne rozłogi. I nagle spłyną te kopuły daleko w krąg niebieski, gromadą bulw tęczowych.

¹ *hoplita* — żołnierz piechoty greckiej, ciężkozbrojny.

Nowość nieznana daje znaki, wykwita wieżami, pię-
rzy się w ścianach wysokich, niskich, obcych.

Jesteśmy już w Kijowie!!!

Na ulicach przeróżnaitych przypatrujemy się ludowi
miejskiemu, omijając wzgardliwym spojrzeniem męż-
czyzn, pilni i przypochlebni względem kobiet.

Święci, którzy stoicie malowani na murach, podparci
ongiś dłońmi Mazepy¹, święci długowłosi, odziani
w krasę tysiącleci, zapatrzeni w pustkę przemijania,
zbożnie doświadczający przepływu nieba, czasu! Wrota²
przemodne, między którymi w cudownych kapach cho-
dzi pop, podobny do huczącego modlitwami słupa ma-
lachitu³.

Ze sprószonych wiekami podłóg kamiennych chóry
odpowiadają, nisko, wysoko, i górą, i znów dołem, niby
płuca anielskie, w których oddycha tajna mądrość
obrzędku.

Wrota, wrota!!!

Carskie wrota, wielki złocisty płocie, za którym lśnią
złote winogrona, a kute słońca niby rozżarzone pająki
spoczęły nieruchomo pomiędzy Świętymi! Wrota obszyte
sznurami gwiazd, wysadzone głowami aniołów, nieprze-
stąpione, za którymi leży okuta księga i płynący nad nią
w nieskończoność głos śpiewnej modlitwy!

¹ *Mazepa* — hetman Ukrainy (1687—1709); dbał o pod-
niesienie Kijowa z wiekowego upadku, zabezpieczał od ruiny sławne
jego cerkwie. ² *wrota* — tzw. *carskie wrota*; w kościołach
obrzędku wschodniego ozdobna przegroda dzieląca główny ołtarz
od kościoła; w niej troje drzwi: główne pośrodku i dwoje bocz-
nych; w czasie nabożeństwa otwiera się, je lub zamyka zgodnie
z liturgią obrzędu. ³ *malachit* — kamień o pięknej zielonej barwie.

Starości i Nowości!...

Hotele, w których szalał dostatek całej Rosji, ongiś pachnące piżmami i rakami, dziś w przewodach swych od dołu do najwyższych pięter zatkane śmieciem!

Place olbrzymie, zapełnione pogruhotaną bronią, kilometry zepsutych armat, wojno świata, która tu pyskiem tysięcy dział wypaproszonych szczerzysz gniew swój ku niebu!

W cerkwiach, gdzie bizantyjski Bóg poziera z góry płaskimi oczyma na mrok swego domu, śladami Rosjan, Francuzów, Anglików, Polaków, Ukraińców, Niemców, śladami narodów, ludów, szczepów, po ruinach, zgłiszczach, w przewiewie ogrodów, po spaleniznie, wszędzie stąpa ona, kobieta tego miasta, w małym, lekkim obuciu na gołych atlasowych nogach, pod światło przeźroczyta.

A ty, choć widzisz, że wszędzie płocze mnóstwo uganiania, szukasz jej ustawicznie po mieście, i tu i tam, i nad wyniosłym brzegiem, z którego przez rzekę na brzeg drugi opada ten kraj w lśniących błamach zieleni, przetykany niebieską strugą ramion dniewprowych.

Ukraina!

Między te ramiona wód i lasów poleciały nasze pułki, po mostach przejechała armata i poskoczył na koniu generał Śmigły, twardy, bystry i zwrotny, jak sen chłopięcy o młodości i sławie wojennej.

Słońce zachodzi.

Właśnie w granatowych zamysłach nieśmiałej jeszcze nocy świat grążyć się poczyna, gdy oto patrzcie: spośród czarno-niebieskich ramion, wody i lasu, wybucha błyska-

wica... I huk donośny raz po raz obejmuje złociste rozległości. To głos dział dudni w bezmiarach, a na wskos od porywów orężnego gromu, na zwoju aksamitnej szaryzyny chmur, coś się przerywa, drga, i znowu czerwienieje...

Już obszyło lamą¹ ognistą wielkie zwaliska chmur, już się z nich wydobywa, już się na szczycie uwiło w rozeźgloną² koronę... Z korony tej na świat mgłami spowity padają krople, strzępy, rozwiane poły, całe płachty ogniste... Całe płachty pożogi, zwoje płomieni, — ognie powstania płyną w dół z uwitej na niebie korony pożarów Ukrainy.

¹ *lama* — tu: oblamowanie, obrzeżenie. ² *rozeźglony* — rozżarzony (por.: żec, zażęgać).

KURANT ¹

Tak człowiek latał, gonił, że prawie o własnym życiu już zapomniał. Nie pamięta, czy ma jakich bliskich. Czy tam za nim kto wzdycha, czy nie wzdycha? Czy pisze listy, czy też z kim innym chadza w mrokach ogrodu pod ramię?...

Czy, gdy się budzi twój swat ², ciebie szuka pierwszą myślą, czy też już cię nie szuka, a puste po tobie miejsce nowym kłopotem wypełnił?

Ona zaś kobieta twoja, czy różowe nogi spod nakrycia ku wczesnemu rankowi wyrzuciwszy, o tobie myśli, czy też w jej myślach zbladłeś już, tak samo jak o świcie blednie różowy sierp księżyca?!

Nic o tym nie wiemy, żaden z nas nie wie nawet o tych, z którymi razem na te boje wyruszał. Przemieszała nas wojna, bratasz się co chwila na zawsze, jutro na zawsze zapominasz. I wszędzie, gdzie cię nie ma, kwitnie zapominanie, a znów wszędzie, gdzie stajesz, pełga pamięć tak płona!

Wiesz tylko, że na mapie leżą miasta, na bibułkach wymienione są komendy, a ty, wezwany cienkim papierkiem rozkazu, pędzisz miastami, drogami i lasami buj-

¹ *kurant* — melodia (aria) wygrywana przez zegary „grające“, modne i ulubione z początkiem XIX w. ² *swat* — druh.

nymi, w których nocą ludzie spalają zwiędłe liście, od czego lasy jakby kipiały szczerym złotem ognia.

Utarł ci się w głowie dzień z nocą w jeden ciąg, śliczną plecioną nowością, że w końcu czekasz, słuchasz, patrzysz, samemu sobie zapomniany, jak właśnie tu, na małej uliczce Żytomierza, z całym Kijowem w piersiach, z szarfą Dniepru na oczach...

Tyka zegar, fikusy nudzą się na oknie, sędziwa rezydentka drepce po pokojach, samowar dmucha białą kitką pary, rzekłbyś, sama codzienność spływa z kurka równymi kroplami do miseczki...

Naprzeciw leży droga, dalej, przy białych parterowych domkach strażują smukłe topole. Popołudnie ciepłym swym tchnieniem przebiera lekko w liściach, górą zaś śpieszy niebo błękitne, sam nie wiesz w którą stronę.

I tak się patrzysz, o framugę oparty, roztrwoniony po całym kraju, niby obecny tu, a przecież nigdzie istotnie nie będący, gdy z za zakrętu drogi wyjeżdża skądś konno, pochylony na siodle, zakurzony i brudny...

Przyjaciel!

Wołasz na niego z okna.

Za chwilę, gdy już we dwóch siedzicie, wlecze któryś trzeci jakiegoś znów czwartego przyjaciela.

Prawdziwy cud, — wielkie wymachiwanie, moje uszanowanie, — widzieliście coś podobnego?!

I jak was Pan Bóg posłał na tę wyprawę razem w kupie, takeście się przypadkiem zeszli znowu z przeróżnych stron. Nuże, jeden przed drugim, wszystko widziane, wszystko słyszane wytrząsać co najprędzej. I śmiać

się zdrowym śmiechem wesołych drabów i dogadywać ciemnym topolom, które ślicznie szeleszczą swoim głosem, i nuże rozwalać się wygodnie.

Rozwalać się szeroko, jak plany wypełnione!

Strudzony tułów niech leży na kanapie, ramiona, nogi osobno wypoczną na krzeselkach, które z pewnością jeszcze żołnierzy napoleońskich gościły. A łapami nienasyconymi wszystko, co się znajdzie pod ręką, nuże ruszać, oglądać, macać, farfurki ¹ stare głaskać, i klepać się po własnych portkach, z których idzie kurz całej długiej kampanii.

Nagle, właśnie gdyśmy siadali do herbaty radośnie rechotając, stękać coś jeło przez powietrze chrapliwym szczękiem. A potem zaraz głosy się z tego wysupłały matulkie, srebrne, grzecznymi perełkami spadające, to przerwane, to równe, powracające przypomnieniami zwrotek.

Ucichliśmy, zdumieni, bo to tak było dziwne, nagłe, jakby zniemacka samo powietrze zadzwoniło. Już strofki rzewne ścichły w dźwięcznych falach kadencji ², gdyśmy źródło muzyki wykryli.

Mieściło się w obrazie starym, przedstawiającym przysięgę Kościuszki na Rynku krakowskim. Widać trącił ktoś obraz, wzruszył stare sprężyny, i oto kręcąc się posłusznie proszą głosem dawnej uroczystości na stare kąty, meble, na nasze głowy, oczy, na szum liści za oknem i na szum wspomnień w naszych zasłuchanych sercach.

¹ *farfurka* — naczynie fajansowe; niegdyś zwano tak u nas i porcelanę. ² *kadencja* — harmonijny spadek dźwięków, zaokrąglenie melodii ku końcowi zwrotki muzycznej.

Dzwonią tak pięknie, jak gdyby samo źródło dalekich czynów pryskało perełkami, jakby się z siebie samego wziął ten głos dawnych czasów i prosić zaczął na nas dźwięczną rosą dawnych wędrówek, bojów, strat i cierpień i przysiąg i radości.

Oto wymalowany na cyferblacie zegara Kościuszek w sukmanie, opodal Madaliński w bulionach; z boku, jak garść poziomek, gromada Krakusów, w głębi lud z kółek złożony cielistych, przed ludem, ni to szereg żuczków, rząd hełmów lakierowanej, granatowo-niebieskiej piechoty.

Słuchamy, — z emalii niebios przędą się skoczne głosy dawnego wieńca pieśni. I cóż? I nic, i tylko nie wiem kiedy i już nie wiem dlaczego, z powodu jakiej sprawy, jakich wzruszeń czy wspomnień, symbolów czy może jakichś wieszczych przypowieści, pod głos owych kuranów jęły nam płynąć z oczu prędkie, szczęśliwe łzy.

TREŚĆ

	Str.
Przedmowa	5
Wyprawa do Polski (1915)	13
Ostatni postój (1916)	33
Wyprawa wileńska (1919)	55
Wyprawa na Kijów (1920)	107



